

ALFRED HITCHCOCK

GADAJĄCY GROBOWIEC

NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: **KRYSTYNA BOGLAR**)

ROZDZIAŁ 1

DZIWNY KLIENT

Jupiter Jones nudził się jak mops. Czekał w Kwaterze Głównej na Boba Andrewsa i z tej piekielnej nudy niedzielnego popołudnia skrobał łyżką o dno kubka, który jeszcze dziesięć minut temu był pełen lodów cynamonowych.

- Wywiercisz dziurę! - warknął Pete Crenshaw, odkładając na bok hantle. Jego muskularne ciało połyskiwało warstewką oliwki kosmetycznej. Jak większość sportowców dbał o skórę. - I powiem ci coś jeszcze...

- Co? - Łyżka zawisła w powietrzu.

- Zzerasz już drugi kubek lodów.

Jupiter poczuł się urażony.

- To nie jest dawka śmiertelna! Gdzie ten Bob?

- Nie mam pojęcia. Kiedy telefonował, żądając spotkania, był niezwykle tajemniczy. O, jest! A raczej... są!

Jupiter z żalem porzucił plastikowy kubek. Nic a nic nie dało się więcej wylizać.

- Jak to: są?

- Słyszę podwójne kroki.

Drzwi Kwatery Głównej otwały się, wpuszczając światło słoneczne, cztery muchy, Boba i nieznanego mężczyznę z tak gęstym zarostem, że nie było widać rysów twarzy.

- Nasz nowy klient - oświadczył rozpromieniony Bob, prowadząc gościa do jedyne nieuszkodzonego fotela.

- Bardzo mi miło - mruknął Jupiter Jones, wrzucając kubek do skrzynki na odpadki. - Jak się pan nazywa?

Nieznamy przesunął dłoń po twarzy ukrytej w gęstwinie zarostu.

- Problem w tym, że... nie wiem!

Bob radośnie klepnął Pete'a w ramię.

- I o to chodzi, panowie detektywi. Mortimer nie wie, ani kim jest, ani jak się nazywa. Nie wie nawet, skąd pochodzi.

- Mortimer? - Pete wycierał się szorstkim ręcznikiem, tu i ówdzie poplamionym oliwką. - Więc choć tyle wiadomo, że ma na imię Mortimer. A może to nazwisko?

Bob usiadł przy komputerze.

- Nie tędy droga, Pete. To ja nazwałem pana "NN" Mortimerem. Jakoś musiałem się do niego zwracać. Przypomniałem sobie, że pierwowzór myszki Miki nazywał się Mortimer. Tak sobie wymyślił Walt Disney. Myszka miała być początkowo... myszkciem. No... rodzajem męskim. Właśnie Mortimerem.

- Aha - wymruczał Jupiter Jones, czując zbliżającą się nieuchronnie czkawkę, skutek obżarstwa. - Co możemy... upp... dla pana zrobić?

Bob radośnie zacierał palce. Od jakiegoś czasu detektywi byli bezrobotni. Potrzebowali pracy jak kania dżdżu. Jak Jupiter lodów cynamonowych. Każda sprawa mogła uratować ich szare komórki od stagnacji i kompletnej suszy.

- Musimy się dowiedzieć, kim jest Mortimer!

Nieznajomy skinął kudłatą głową. Długość włosów wskazywała, że fryzjera nie widział od miesięcy. Co najmniej dwóch. Albo trzech.

- To moje marzenie - wyszeptał.

Jupiter przestał walczyć z czkawką. Nie, "NN" nie był lumpem sypiającym w kanałach. Koszulę miał czystą, choć sfatygowaną. Para dzinsów, oprócz nieco obszarpanych nogawek, nie przypominała oblepionych błotem spodni sezonowych robotników budowlanych. Jego angielski brzmiał poprawnie. Z lekkim akcentem ludzi długo mieszkających na Wschodnim Wybrzeżu. To mogło świadczyć, że nie był również imigrantem.

- Co pan pamięta?

Kudłaty rozłożył dłonie. Bezwarunkowo należały do człowieka, który nigdy nie uprawiał tytoniu, nie grzebał w ziemi, nie taplał się w teksaskiej ropie naftowej. W ogóle nie używał rąk do pracy.

- Niewiele. Kiedy się obudziłem trzy dni temu nad ranem, mój zegarek wskazywał północ, a datownik - czternasty dzień czerwca dwutysięcznego roku.

- Czerwca? - zdumiał się Crenshaw. - Mamy październik. Rok się zgadza. Prezydentem jest wciąż Clinton, a dziura ozonowa powędrowała znad Meksyku do Grenlandii.

- Nic z tego nie rozumiem - nieznajomy zapatrzył się w komputer - miałem kiedyś taki...

Bob ucieszył się. Włączył przycisk. Ekran rozjarzył się błękitną poświatą. Pojawiła się koperta i napis: odbierz e-mail!

- Ktoś do mnie? - kliknął myszą. - Patrzcie! Serduszko! To musi być list miłosny do Crenshawa.

Z ekranu uśmiechała się czarnowłosa piękność o lekko wystających kościach policzkowych.

- Vanessa! - warknął Jupiter. Nie znosił wielbicielk Pete'a. Pewnie z zazdrości, ale wołał o tym nawet nie myśleć. - Wyłącz ją, Bob! Nie mamy czasu na głupoty.

Pete nie zaprotestował. Zupełnie zapomniał o szkolnej koleżance. A przecież obiecał, że zabierze ją na mecz koszykówki pomiędzy Rocky Beach a chłopakami z Malibu.

- Jak pana znalazłeś, Bob? - spytał szybko, by nie tłumaczyć się z miłosnych listów wysyłanych e-mailem na służbowy komputer Kwatery Głównej.

- Przez przypadek. Mortimer stał na skraju chodnika, chcąc przejść na drugą stronę ulicy. Wyraźnie się bał. Stawiał stopę na jezdni, a potem szybko ją cofał. Spytałem, jak każdy dobrze wyszkolony skaut, czy mogę pomóc. I tak się poznaliśmy.

- Gdzie pan mieszka? - Jupiter starał się wyobrazić sobie rysy nieznanego.

- Ulica nazywa się Veneziana. Tyle wiem. Wyszedłem z takiego taniego hoteliku. Pokój ma numer osiemnaście. - W ręku Mortimera zabłysł srebrny, pospolity klucz. Zamek, do którego pasował, można było otworzyć wykałaczką.

- Włoska dzielnica - stwierdził Bob, powiększając na ekranie plan miasta. - Jest Veneziana. W najgęściej zaludnionej części Rocky Beach. Są tu jeszcze drewniane domy pamiętające czasy Ala Capone'a. Mówi pan po włosku?

- Nie sądzę. W jednym ze snów widuję zielone wzgórza. W innym biały dom w ogrodzie.

- Miewa pan sny?

- Tak. W kolorze. Ale wszystkie kończą się czarną dziurą. Kiedy się obudziłem trzy dni temu, w kieszeni miałem zwitek banknotów studolarowych i trzy czekiki...

- Na jakie nazwisko? - wrzasnął Crenshaw.

- Czeki American Express. Na okaziciela. Warte trzy tysiące.

- Jak na bezdomnego, zarośniętego niedźwiedzia to niezła sumka! A do hotelu ktoś musiał pana zaprowadzić. Kto?

- Nie wiem. Bałem się spytać. Człowiek w recepcji jest starym grubym Włochem. Wrzeszczy na swoją jeszcze grubszą żonę, że źle gotuje.

- Po jakimu wrzeszczy?

Mężczyzna otworzył usta. Zanim je zamknął, mijały długie sekundy.

- No... po włosku. Chyba.

Bob zmarszczył brwi.

- A twierdził pan, że nie zna włoskiego?

Mortimer przesunął dłonią po głowie. Cicho jęknął.

Pete skoczył jak oparzony.

- Niech pan pochyli głowę. Tak, jeszcze niżej. No jasne! Facet dostał w łeb, chyba maczugą. Ma rozciętą skórę, guz wielkości piłki do kosza i... po takim łupnięciu każdy by stracił pamięć.

Przez następne dziesięć minut Crenshaw zręcznie opatrywał rannego. Został niezłe przeszkolony na kursie ratowników plażowych.

Bob wgapił się w czeki leżące na biurku. Były nieco zmięte, ale czyste. I wszystkie wystawione przez waszyngtoński oddział American Express. Na wszelki wypadek sprawdził dane w komputerze. Wszystko się zgadzało. Serie, numery, kod zabezpieczający.

- Co jeszcze miał pan w kieszeniach?

Mortimer pojękiwał, gdy Crenshaw wystrzygał mu włosy wokół rany.

- Nic. Tylko ten medalion na szyi.

Cała trójka rzuciła się, wyciągając ręce. Na srebrnym solidnym łańcuszku opalizująco połyskiwał medalion wielkości pokaźnej dolarówki, jakie dostaje się w kasynach gry w Las Vegas. Oprócz zawiłego ornamentu z liści wawrzynu, w oczy rzucały się dwie litery głęboko wryte i wypełnione czarnym szkliwem: PO.

- Inicjały? - zamyślił się Jupiter.

- Całkiem możliwe - Bob poprawił okulary zjeżdżające na czubek nosa. - Ale próba dotarcia do prawdy może spełznąć na niczym. PO? I co dalej?

- Fakt. - Pete założył opatrunek. - Niech pan tego nie zrywa przez dwa dni. Potem zmienimy. Myślę, że pierwszy trop prowadzi na ulicę Veneziana. Trzeba przepytać grubego Włocha. Może nie tylko wrzeszczy na żonę. Może także pamiętać, kto pana tam przyprowadził.

- A jeśli Mortimer przyszedł sam? Tylko nic nie pamięta? - Bob sprawdzał na planie, jak najszybciej dojechać do włoskiej dzielnicy.

- To też sprawdzimy - postanowił Jupiter. - Ale sami!

- Jak to? - zdziwił się nieznajomy.

Pete pokiwał głową.

- Jupe ma rację, jeśli mamy się czegoś dowiedzieć, pańska obecność będzie tylko przeszkodą. Czy Włoch zauważył, że nie pamięta pan niczego, co zdarzyło się przed trzema dniami?

- Nie wiem. Starłem się nie rzucać zbyt w oczy. Może zadziałał instynkt samozachowawczy?

Pete poklepał go po ramieniu.

- To dobry znak, panie... myszek, jak właściwie brzmi rodzaj męski od myszy?

Bob wydał usta.

- Nie ma. Mówi się: ta mysz.

- To niesprawiedliwe! Feminizm nas wykończy. Ja się nie zgadzam! - Pete zaperzał się coraz bardziej. - Napiszę do Kongresu, by coś z tym zrobili! Mysz musi być "ten mysz"!

- Macho! - warknął Bob. - Mortimer, niech pan posłucha. Zostanie pan tutaj. Tylko proszę nie ruszać komputera. Tu są komiksy, gazeta sportowa i słownik poprawnej angielszczyzny. Proszę poczytać, a w ostateczności przespać się na kanapie. Tylko uwaga, wyłażą sprężyny. Za jakiś czas wrócimy.

Veneziana Street była wąską, krótką uliczką pomiędzy halą gimnastyczną a Towarzystwem Krzewienia Czegoś Tam. Jedną z tych, których nie pochłonęły jeszcze giganty sportowe.

Hotelik pod niecodziennym szyldem "Grazia Piena" już na pierwszy rzut oka przypominał wylęgarnię szcurów i karaluchów.

- Co za paskudna nora! - Jupe obwąchiwał powietrze. Pachniało rozgrzaną oliwą, wodorostami i niezbyt świeżymi rybami.

- Nie znamy uroków własnego miasta, panowie detektywi - roześmiał się Bob, wysiadając ze starego forda. - No, do dzieła!

W recepcji nie było nikogo. Ciemne tapety zmieniano chyba ostatni raz w czasie wojny Północy z Południem. Podłoga z zielonego linoleum lepiała się od brudu.

- Hej, jest tam kto? - ryknął zde gustowany Crenshaw.

Ze schodów, z których zapewne nie spadali tylko kompletnie pijani, szłapywał niechlujny grubas w koszuli w kolorowe baloniki.

- Gust raczej wątpliwy - warknął Jupiter. - Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań, jeśli można...

- Buon giorno - wystękał grubas - chcecie pokój?

- Nie - Jupiter oparł się o kontuar, na którym leżała wymorusana księga gości - jesteśmy detektywami. Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o panu z pokoju numer osiemnaście. Oto nasza wizytówka.

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja i analizy Bob Andrews

- No... no... - przestraszył się Włoch. - Albergo chiuso...

- Proszę mówić zrozumiale albo sprowadzimy tu policję! - niespodziewanie dla samego siebie wrzasnął Bob. - Basta!

To jedno jedyne słowo "basta" załatwiło sprawę. Włoch całkiem dobrze radził sobie z angielskim.

- Ja nic nie wiem! - machał rękami. - Nic nie wiem!

- Dlaczego? - zdziwił się łagodnie Pete, odwracając w swoją stronę zatłuszczoną książkę.

- Proszę to zostawić! - wystękał właściciel. - Tajemnica hotelowa!

Jupiter tracił cierpliwość.

- Kim jest facet z pokoju osiemnastego?

Pete spokojnie przerzucał prawie puste strony.

- Nie ma go tu?

- Osiemnaście? Diciotto? A... już wiem! Signore przyjechał taksówką. Z kobietą. Zameldowała go na jedną dobę.

- Pod jakim nazwiskiem? Nic tu nie widzę.

Grubas zaczął się pocić.

- Jest tylko nazwisko signory...

- Clarissa Montez? - Pete z trudem sylabizował bazgroł.

- Tak. Ale zostawiła go. Zaraz. I nikt do niego nie przychodził...

- Nikt nie telefonował? - Bob sięgnął po notes.

Grubas otarł czoło.

- Raz. Jakiś mężczyzna.

Jupiter zamarł.

- I?

Hotelarz wzruszył ramionami. Z kuchni dochodził piskliwy kobiecy głos.

- Poprosił do telefonu pana spod osiemnastki. Nie podał nazwiska. Swojego też nie.

- Rozmawiali?

- No nie. Osiemnastki nie było w hotelu. Idę już, idę! Porca Madonna! Panowie, żona woła...

Jupiter dał hasło do odwrotu.

- Niczego więcej się nie dowiemy. Nasz Mortimer nadal pozostaje nierozszyfrowanym problemem. Chyba że...

- Że co? - Bob sadowił się na przednim siedzeniu forda.

- Że znajdziemy niejaką Clarissę Montez. Z nazwiska sądząc, to Włoszka lub Meksykanka. Tylko ona jest w stanie posunąć śledztwo do przodu.

- A jeśli podała fałszywe nazwisko? - Pete z radością opuszczał zapyziałą dzielnicę.

- To śledztwo się nie posunie - mruknął Jupiter, walcząc z pierwszym biegiem. - Jak zamierzamy szukać tej Montez?

- W spisie mieszkańców Rocky Beach albo w kartotece policji. Sierżant Mat Wilson ma wobec nas stare zobowiązania.

- W jakim sitkocie ty żyjesz? - roześmiał się Bob. - Mat Wilson najchętniej by nas wystrzelił w kosmos. Z przyłódka Canaveral. Zawsze sprawia wrażenie, jakby chciał każdego z osobna przejechać

samochodem!

- To kto by w tym mieście rozwiązywał detektywistyczne zagadki? - westchnął Pete. - Bez nas nie ma życia na całym Zachodnim Wybrzeżu!

Jupiter Jones hamował przy krawężniku.

- George Lawson - powiedział twardo. - Konstabl Lawson musi sprawdzić nazwisko Montez w swoim rejestrze. Jest głupi jak but z lewej nogi, ale on jeden ma dostęp do komputerowych danych.

- O, Boże! - westchnął Pete, wyłaząc z wozu. - Kiedy Lawson wyciąga rękę, by sprawdzić, czy deszcz pada, ludzie dają mu jałmużnę!

- Ta robota zaczyna mu zżerać mózg, który, jak wiemy, nie jest większy od pączka.

Bob otworzył drzwi Kwatery Głównej.

- Nie ma go! - wyszeptał zaskoczony.

- Kogo? - Jupe jeszcze nie kojarzył.

- Mortimera! Może to była fatamorgana? Takie jezioro, które się ukazuje na pustyni ludziom umierającym z pragnienia! Jupe, ocknij się! Masz minę, jakbyś znalazł rolkę papieru toaletowego z numerami telefonów moich dziewcząt! - Pete zaglądał nawet pod fotel. - Faktycznie. Wyparował.

- Kłamał? - Bob stał zamyślony.

- Obawiam się, że sprzedał nam egipską piramidę wraz z mumią w środku!

- Wiesz co mówi Biblia? - westchnął Jupiter Jones, sięgając po pudełko ciasteczek z orzechami.
- Jeśli nie rozpoznasz frajera w ciągu dziesięciu minut, sam nim jesteś!

ROZDZIAŁ 2

KIM BYŁA CLARISSA MONTEZ?

Mimo ponurych prognoz śledztwo nagle skoczyło niczym australijski kangur.

- Nie uwierzycie - westchnął Bob, wpatrując się w niebieskawy ekran. - Jest.

- Kto?

- Clarissa Montez!

Pete przestał robić pompki. Znów spocił się jak hipopotam.

- Gdzie? No, gdzie mieszka?

Jupiter oblizwał suche wargi. Chciało mu się pić. Ale niczego nie znalazł w głębi pustej lodówki.

- Nie wiem. Pracuje... to jest przyjmuje...

- Lekarka? - zdziwił się Pierwszy Detektyw.

Bob nagle wybuchnął śmiechem. Aż mu łzy pociekły z oczu.

- Lekarka? - łkał trzymając się za brzuch. - Żadna lekarka.

- Mówiłeś, że przyjmuje - Pete wycierał czoło. - Gdzie? W agencji towarzyskiej?

- Nie. - Bob uspokoił się. - Jest wróżką!

Obaj detektywi spojrzeli po sobie w niemym zdumieniu.

- Wróżką? Chiromantką? Wróży z kart, fusów czy z czarnego kota? - przekrzykiwali się nawzajem, nie wierząc w to, co usłyszeli.

Andrews otarł ostatnią łzę.

- Z kota się nie wróży. Kota się ma. Słuchajcie, tu jest wszystko czarno na białym: "Wróżka Clarissa Montez przyjmuje codziennie przy placu Trzech Wiązów. Poznasz przyszłość, przeszłość i teraźniejszość..."

- Szczególnego rodzaju wróżby. Teraźniejszość? Coś dla Mortimera! - szeptał Jupiter, zaciskając powieki.

- "... koszt wizyty dziesięć dolarów". - kończył Bob.

- Niezbyt wygórowana cena - westchnął Crenshaw.

- A masz dziesięć dolarów? - zdenerwował się Bob. - Bo ja nie. Nikt nie miał. Od dawna niczego nie zarobili.

- Sądzisz, że to jedyna Clarissa Montez w całym Rocky Beach?

Bob klikał myszą.

- Tego nie wiem. Ale nikogo o tym imieniu i nazwisku nie ma w danych komputerowych policji.

- Włamałeś się do ich systemu? - zachichotał Jupiter Jones.

Bob nie ukrywał zdziwienia.

- Zawsze się włamuję. Co ty? Udajesz, że nie wiesz?

Jupiter ssał wargę. To mu pozwalało myśleć.

- Dobra! - wystękał po dłuższej przerwie. - Jutro rozładujemy z wujem Tytusem transport złomu. Poproszę o dziesięć dolców pożyczki. Wystarczy dla jednego. Pójdzie Bob.

- Dlaczego ja? - Andrews aż podskoczył. Okulary zjechały mu na czubek nosa.

- Bo jesteś dokumentalistą! - powiedział Pete, wyciągając nogi. Sięgały aż do drzwi przyczepy.
- I dobrym obserwatorem.

Następnego dnia Jupiter Jones, choć nie przyszło mu to łatwo, poprosił ciotkę Matyldę o pożyczkę.

- Naprawdę muszę dziś mieć te dziesięć dolców. Oddam za trzy dni, kiedy sprzedam szafę, którą udało mi się odnowić.

- Wiem, Jupiterze - ciotka sięgnęła do kieszeni - ale w sobotę muszę zapłacić dostawcy.

- Dobrze, ciociu. Dzięki. Czy... byłaś kiedyś u wróżki?

Ciotka z rozmachem usiadła na krześle.

- U... wróżki? Bój się Boga, Jupiterze! Wierzysz w te fusy i zatłuszczone karty?

- Ja nie - Jupiter wycofał się rakiem - ale są tacy, co wierzą. Inaczej wróżki nie ogłaszałyby się w Internecie. Jest taka. Nazywa się Clarissa Montez.

Ciotka osłupiała. Wpatrywała się w siostrzeńca niczym głodny wąż w kurczaka.

- Clarissa Montez? Chodziłam z jedną Montez na kurs gotowania. W młodości. Rzeczywiście

miała na imię Clarissa. I była Meksykanką. Teraz wróży? Jak dobrze upiec indyka? Była w tym najlepsza. Coś takiego...

Z kuchni rozległo się terkotanie budzika przy elektrycznej kuchni. Ciotka pogalopowała ratować baraninę z brokułami. Jupiter Jones z dziesięciodolarówką w garści ruszył do Kwatery Głównej. Przyczepa kempingowa stała na końcu placu zawalonego metalowym złomem. I starymi meblami do renowacji.

- Bob - powiedział ponuro - idziesz do wróżki. Możliwe, że chodziła z ciotką Matyldą na kurs gotowania.

Bob spojrział na przyjaciela z lekkim przerażeniem.

- A jak mi powie prawdę?

- O czym? - Jupiter wybałuszył oczy.

- O mnie! Że czasem kłamię, włamuję się do policyjnego komputera i podrobiłem w szkole, podpis belfra w dzienniczku?

- Bob! Kiedy to było? - jęknął Pierwszy Detektyw. - Jak miałeś jedenaście lat! A kto z nas nie podrabiał podpisu? Wszyscy, Bob! No... może poza Vanessą. Idziesz do wróżki. Przyjrzyj się dokładnie, jak mieszka, co stoi w pokoju. Ile jest drzwi i okien. Jakie zabezpieczenie...

Bob siedział z nieszczęśliwą miną.

- Chcesz powiedzieć, że włamiesz się do señory Montez?

Jupiter odwrócił wzrok. Wiedział, że Bob jest niepoprawnym legalistą. No... poza tym, co wyczynia w komputerze. Ale zawód detektywa zobowiązuje. Także do działań na pograniczu prawa. Dlatego przeważnie wyprzedzali nierychliwą policję.

- Tylko w przypadku, gdyby trzeba było zajrzeć do spisu tych... no, pacjentów.

- Chyba klientów, Jupe. O ile ma. Taki spis, naturalnie. Podrzucisz mnie? To jest na końcu świata. I może... trzeba się zapisać?

Jupiter Jones całkiem poważnie skinął głową. Natychmiast zadzwonił. Numer był obok adresu.

- Pani Montez? Clarissa Montez? Mówi Rothschild. No... nie, nie ten milioner. Jego wnuk. Też bogaty. Chodzi o przyjaciela... właśnie. Miał problemy. Jakie? Przecież to pani jest wróżką! No... dalej ma kłopoty. Ho, ho! A jakie jeszcze go czekają! Czy może przyjechać? Zaraz? Tak. Dziękuję. Dziadek dobrze się trzyma. Właśnie trysnęło mu trzynaste źródło ropy w Teksasie - odłożył słuchawkę, wydmuchując powietrze z płuc.

- Dlaczego powiedziałeś, że jesteś wnukiem milionera? Będzie wiedziała, że kłamiemy. Jest wróżką!

Jupiter Jones podniósł w górę palce.

- Właśnie to chcę sprawdzić. W drogę, Bob! Zostaw wiadomość dla Crenshawa w dziobie Kaczora Donalda.

Bob skinął głową. To był jeden z obowiązków Trzech Detektywów: zawsze zostawiać wiadomość.

Kaczor Donald był figurą z parku Disneya. Kiedyś przyjechał wraz z innymi niepotrzebnymi rzeczami. Do punktu skupu złomu, który od lat prowadziło wujostwo Jupitera. I do dziś stoi pod Kwaterą Główną detektywów.

Jechali, klucząc i gubiąc się w plątaninie uliczek starego Rocky Beach. Wylądowali przy placu Trzech Wiązów, który okazał się miejscem leżącym o jakieś sto, dwieście metrów od hotelu "Grazia Piena", gdzie mieszkał Mortimer. Człowiek "NN".

- Nie sądziłem, że są tuż obok siebie - zdziwił się Jupiter. - Jak to możliwe, że hotelarz nie znał wróżki? A to Montez przywiozła Mortimera? No, wyłaź!

Bob ociągał się.

- Ale ja nie wiem...

Jupiter dał mu sójkę w bok.

- Przestań się mazać, Bob! Prowadzimy śledztwo. Trudne śledztwo. Trzeba odkryć powiązania Clarissy z Mortimerem. Ona coś wie. Musi wiedzieć. I ty to z niej wyciągniesz!

- No dobrze. Spróbuję. Choć lepszy byłby Pete. On umie gadać z babami...

- Właśnie dlatego wybrałem ciebie. Crenshaw zbyt lubi brylować. Nawet, kiedy ma do czynienia z kobietą w wieku matuzalemowym! Jazda, Bob! I rozglądaj się uważnie. Nie słuchaj bredni ze szklanej kuli, tylko miej oczy szeroko otwarte. Ja tymczasem sprawdzę, czy w pokoju numer osiemnaście nie ma naszego klienta.

Bob, naburmuszony i głęboko nieszczęśliwy, ruszył w kierunku otwartych drzwi. Od ulicy dzieliły je tylko zasłony z koralu. Zabrzęczały niczym owcze dzwoneczki. Przed oczyma Boba otwarła się czarna dziura. W każdym razie tak mu się wydawało, gdy z ostrego słonecznego światła wkroczył w egipskie ciemności. Poczł zapach kadzidła i usłyszał dźwięk, który go przeraził.

- Ha... haloo! Jest tam kto? - wyszeptał, czując, że język zamienia mu się w suchy kołek.

- Wejdz! - wionęło z ciemności.

Coś zaszeleściło, zazgrzytało i zakłapało. Bob, z włosami do sufitu, zobaczył oczyma duszy ludzki szkielet sięgający piszczelami po jego głowę.

- Boouję się - wyjąkał.

Błysnęło światelko. Czarna świeca słabo rozjaśniła ponure wnętrze. Ale nie zobaczył kościotrupa. Nigdzie. Tylko tysiące drobnych szklanych wisiorków, dźwięczących w podmuchach klimatyzatora.

- Ty jesteś ten... Rockefeller?

Kobieta, która zadała pytanie, siedziała w ciemnowiśniowym fotelu wśród czarnych poduszek. Wyglądała jak wielka góra lodowa. Jej pulchne dłonie o długich, czerwonych paznokciach przebierały talię zatłuszczonych kart do tarota. Bob opanował strach na tyle, by dostrzec fioletowy szal okrywający włosy i potężny tors wróżki. Tylko oczy miała wspaniałe: ogromne i błyszczące w migotliwym blasku świecy.

- Nie. Nie jestem tym... no, Rockefellerem. Jego kolegą.

- Dlaczego się tym martwisz?

Andrews zamrugął oczami.

- Bo... każdy się czymś martwi.

- Weź kartę. - Czerwony pazur postukał w talię.

Bob przysiadł na skraju pufy. Wyciągnął dłoń.

- Ogryzasz paznokcie. Straszna wada - westchnęła wróżka, wlepiając pałający wzrok w zmierzwioną grzywkę Andrewsa. - Bardziej dbaj o siebie. No, weź kartę.

Bob z obrzydzeniem dotknął kartonika. Wróżka szybko odwróciła go obrazkiem na wierzch.

- Mężczyzna - powiedziała ponuro. - Brodaty. Niebezpieczny.

- Dlaczego?

Kobieta bawiła się medalionem na długim i grubym łańcuszku. Coś Bobowi przypominał. Ale ze strachu zapomniał, co.

- Nie szukaj go. To diabeł.

Bob otworzył usta. Zapytał dopiero po paru sekundach:

- Ja? Ja go szukam?

Wróżka wydała z wnętrza potężnej piersi odgłos brzmiący niczym gulgot indyka. Był to chyba tłumiony śmiech.

- Tak. I lepiej, żebyś tego nie robił.

- Bo co? - zaszemrał Bob.

- Śmierć! - ryknęła strasznym głosem. - Śmierć!

Bob z przerażenia osunął się z puf. Fiknął głową do przodu i przez kilka sekund znajdował się pod stołem okrytym długą, aksamitną serwetą. To wystarczyło, żeby coś zobaczył. I czegoś dotknął.

I żeby zwał tak prędko, jak tylko to było możliwe.

Jupiter Jones nie przekroczył progu hotelu "Grazia Piena". Stał ukryty za pnem pokracznej akacji, jakie rosły jeszcze w tym starym zakątku miasta. Przypatrywał się grubasowi - właścicielowi siedzącemu na stołeczku i wyraźnie obserwującemu ulicę.

- Zupełnie jak stary traper przed chatą z bali w Górach Skalistych! - wymruczał. - Ale tam człowiek czeka z dubeltówką na niedźwiedzia grizli. A ten tu? Na co czeka?

Gruby odwrócił się w stronę wejścia.

- Graziella! - ryknął. - Gdzie moje cappuccino? Zaraz będzie autobus!

Stara wychynęła z holu, trzymając w dłoniach filiżankę. Była mała, gruba, na klockowatych nogach obutych w filcowe papucie.

- Nie wrzeszcz! - huknęła. - Masz swoją kawę! Wrócił ten tam... z osiemnastki?

Jupiter Jones nadstawił uszu. Na szczęście oboje byli nieco przygłusi. I, na szczęście, mówili po angielsku.

- Wrócił. Zapisałem, jak kazano. Ale nie wiem, gdzie był. Boję się, że to kłopotliwy gość. Może sprawić zamieszanie. A autobus...

Stara wzruszyła ramionami. Jej ciemnoczerwone włosy lśniły w słońcu.

- Autobus przyjedzie o czasie. Roberto się tym zajmuje. Nie panikuj, amore mio. Wracam do kuchni. Potrzebny będzie gar zupy!

Jupiter Jones wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę. Z drugiej ogryzek ołówka. Zapisał kulfonami: Roberto? Autobus? Zupa? - z wielkimi znakami zapytania. Obejrzał się, słysząc tupot.

Środkiem ulicy, nie zważając na pojazdy, gnał Bob. Jupiter odlepił się od akacji.

- Hej, Bob! - zamachał dłonią. - Jestem tutaj!

Andrews przygalopował, nie mogąc złapać tchu.

- Tam, tam... oona...

Pierwszy Detektyw szybko ocenił sytuację. Właściciel hotelu wciąż sączył cappuccino, niczego nie zauważywszy.

- Dobra, Bob - szepnął do ucha przyjacielowi. - W tył zwrot i cichutko, powolutku weźmiemy kurs na kiosk z hot dogami. Rozumiesz?

Bob ochłonął na tyle, by skinąć głową. Gdy już byli poza zasięgiem wzroku hotelarza i kanciapy Clarissy Montez, Andrews odzyskał mowę.

- Ona ma pod stołem cały arsenał - zahuczał, wycierając nos.

- Co?

- Pistolety maszynowe, broń krótką, skrzynki amunicji...

Jupiter poczuł straszny głód.

- Zapłaciłeś za wróżenie?

- Co? - Bob wytrzeszczył oczy - ja ci mówię, że ona ma pod stołem...

- Słyszałem - warknął Pierwszy Detektyw. - Masz może te dziesięć dolarów?

Oszołomiony Bob sięgnął do kieszonki. Banknot zaszeleścił mu w palcach.

- O, do diabła! - wyszeptał. - Z tego wszystkiego zapomniałem zapłacić.

- I bardzo dobrze - odetchnął Jupiter. Podszedł do wózka. - Dwa hot dogi z podwójną musztardą, sałatą i pomidorem - zażądał. - Masz, jedz.

Bob wyciągnął rękę.

- Ale ja ci opowiadałem...

Jupiter Jones mrużył oczy. Musztarda delikatnie szczypała podniebienie. Bułka była chrupiąca, a parówka taka, jak być powinna: gorąca i soczysta. Chwilowo nic nie mogło zmącić sielanki.

- Wiem, Bob - powiedział po dłuższej chwili, oblizując palce. - Wiem, co wróżka ma pod stołem. I to mnie niepokoi. Mówiła coś, zanim... no, zanim zwiąłeś?

- Tak. Chyba coś o nas wie. Mówiła, żebym nie ścigał brodatego faceta. Bo grozi śmierć.

Jupiter wyrzucił zatłuszczony papier. Uśmiechnął się ciepło.

- Teraz wiem, Bob, że Mortimer jest w prawdziwym niebezpieczeństwie. I że my, tylko my,

możemy temu zaradzić. Więc mówisz, że ma pod serwetą cały arsenał?

Bob wsiadał do starego forda.

- Tak. Rozpoznałem karabiny maszynowe. I kilka sztuk broni krótkiej. Miałem tylko parę sekund, Jupe. I było ciemno jak w grobie. Ale mimo to rozpoznałem. Ona nawet pachnie...

- Kto? Clarissa Montez?

- Głupi! - warknął Andrews. - Broń. Żelastwo. Ma taki charakterystyczny zapach. Smar... czy co innego.

Wyjeżdżali z włoskiej dzielnicy. Jupiter zamyślony, Bob wciąż owładnięty strachem.

- To wszystko nie ma sensu - powiedział Pete, gdy parę godzin później spotkali się w Kwaterze Głównej. - Wróżka zamieszcza ogłoszenie w Internecie, a pod serwetą ma cały arsenał? Po co? Żeby zabijać własnych klientów, jeśli nie zapłacą dziesięciu dolarów? To się, panowie detektywi, kupy nie trzyma!

Jupiter Jones skubał wargę.

- Na pierwszy rzut oka rzeczywiście - westchnął - bez sensu. Ale wyczuwam pewne powiązania.

- Jakie?

- Hotelarz czekał na autobus. I to nie miejski, bo żaden tamtędy nie jeździ. Przemyt? Wspólnie z Clarissą Montez?

- Wróżka przywódczynią gangu? Autobusy pełne Czerwonych Brygad? Albo mafii chińskiej zwanej Triadą? - Bob prychnął niczym rozwścieczony kot. - Stół jest okrągły. Olbrzymi. Serweta z frędzlami sięga ziemi. Można tam schować pułk piechoty morskiej. Albo lotniskowiec.

- Po co? - drapał się w głowę Crenshaw.

- Punkt przerzutu broni? Szkoda, że tak szybko zwiąłeś. Bob. Teraz ona wie, co zobaczyłeś. Może kazać nas śledzić.

- Najpierw to my będziemy śledzić ją! - wycedził Jupe. - Wiem, co zrobimy!

- Co?

- Pete namówi Vanesę, żeby poszła sobie powróżyć. Nikt nie będzie podejrzewał młodej, ładnej dziewczyny, że idzie na przeszpiegi.

ROZDZIAŁ 3

GDZIE SIĘ PODZIAŁ MORTIMER?

Ale zanim uszczęśliwiona perspektywą poznania własnej przyszłości Vanessa przekroczyła próg wróżki, nastąpiło wiele innych zdarzeń.

- Chcę go zobaczyć na własne oczy - stękał Pete, robiąc przysiady.

- Kogo? - zezłościł się Jupiter Jones. - Przestań trząść podłogą. Mózg mi chlupocze!

- Chcę zobaczyć ten arsenał - Crenshaw usiadł na chwilę. - Dziś w nocy.

Bob o mało nie zemdlął.

- To... to jakby o północy wejść na cmentarz!

Pete wzruszył ramionami. Był pragmatykiem. Nie wierzył w duchy, astralne zjawy, wilkołaki i tym podobne brednie.

- Pójdę z Jupiterem. Ty będziesz miał na oku Mortimera. Może wreszcie wyjdzie z hotelowej nory. Powtarzam: dziś o północy.

Pierwszy Detektyw poczuł zapach sławy. Nic nie miał przeciwko nocnym podchodom, jak wiadomo, włoska dzielnica nie chodzi spać z kurami jak reszta mieszczańskiego Rocky Beach.

- Dobrze. Uprzedźcie w domu, że znikamy. Inaczej zadzwonią w desperacji do Mata Wilsona na posterunek policji. A tego bym nie ścierpiał. Nie na początku śledztwa.

Punkt dwunasta zaparkowali na placu Trzech Wiązów. Pod jedną z akacji, bowiem wiązy zostały wycięte chyba już za czasów pierwszych osadników. Ze dwieście lat temu.

- Jupe, weź latarki, noktowizor, sznur i kolorową kredę - Pete rozkazywał niczym prawdziwy przywódca. I choć nie całkiem to się podobało Pierwszemu, musiał oddać sprawiedliwość Crenshawowi. Tylko on potrafił pokonać najtrudniejsze zamki, zabezpieczenia przeciwwłamaniowe i wszelkie inne alarmy. I to wyłącznie za pomocą paru sprawnie zgiętych drutów, obciążków i pilnika do paznokci, gwizdniętego mamie z kosmetyczki.

- A ja? - niepokoił się Bob. - Mam pójść do pokoju osiemnastego?

- Ani się waż! - mruknął Jupiter, nurkując w przestronnym bagażniku starego forda. - Obserwuj. W knajpach jest pełno ludzi, gra muzyka, nawet dzieci jeszcze nie śpią. Udawaj turystę, łaż od rogu do rogu, nie spuszczać oczu z holu hotelowego.

- Tylko tyle?

- Aż tyle.

Pete przyglądał się przez noktowizor drzwiom prowadzącym z ulicy wprost do wróżebnego sanktuarium Clarissy Montez.

- Szklane tafle. Zamek zwykły. Sekunda i jestem w środku. Światła nie ma.

- A na górze? - zastanowił się Jupe. - Tuż nad sklepem, czy jak go zwać, jest mieszkanie. W jednym z okien jasno.

- No tak - Pete wzruszył ramionami - możliwe, że sławna wróżka ma na górze prywatne mieszkanie. To nawet wygodne. Ale nie sądzę, żeby chciała zejść teraz na parter.

Trzech Włochów, lekko wstawionych, zaczęło rozróbę tuż przy wejściu. Od słowa do słowa doszło do rękoczynów. Darli się przy tym, jakby ich ktoś obdzierał ze skóry.

- Akurat teraz! - wściekł się Pete.

- I bardzo dobrze! - uspokoił go Jupiter. - Za chwilę przestaną, pójdą umyć zakrwawione nosy, a na słaby hałas nikt już nie zwróci uwagi.

I miał rację. Po trzech minutach mężczyźni, obejmując się przyjaźnie, odchodzili w kierunku knajpki, by poprawić humor następną szklaneczką czerwonego wina z kalifornijskiej plantacji.

- Teraz!

Przeskoczyli jezdnię. Tuż przed drzwiami Jupiter zasłonił plecami "pracującego" przy zamku Pete'a.

- Już! Szybko! Do środka!

Byli zbyt doświadczonymi detektywami, by natychmiast zapalić latarki. Przez jakiś czas tkwili w bezruchu. Ich wzrok pomału przyzwyczajał się do ciemności. Zaczęli nawet rozróżniać sprzęty. W tym ogromny stół, przykryty aksamitną grubą serwetą, sięgającą frędzlami podłogi.

- Nie świeć. Z zewnątrz zobaczą. Przez te cholerne szklane drzwi.

- Nie można ich czymś zasłonić? - wyszemrał Jupe.

- Nie. Zasłona z koralików jest zbyt rzadka. Stój, gdzie stoisz. Masz paralizator pieprzowy?

- Tak. W kieszeni. Na wszelki wypadek.

- Trzymaj go w garści. Ja zanurkuje pod stół. Według relacji Boba tam trzymają broń. Zaświecę latarkę, a ty mi powiesz, czy widać promień. Już!

Jupe ssął wargę. Nie był zdenerwowany. Raczej trochę podekscytowany. Jak zawsze, gdy zaczynał śledztwo.

- Niczego nie widać. Czarno jak... no, mniejsza z tym. Co tam jest? - Brak odpowiedzi trochę go zdziwił. Ale cierpliwie czekał. Widocznie Pete potrzebował trochę czasu, by się rozejrzeć. Gdy rozległ się hałas, Jupe zaniepokoił się. - Pete? Jesteś tam? - Znow usłyszał rumor dochodzący spod podłogi. I jakieś stęknienie. - Idę! - Skoczył, przewrócił krzesło i odsunął róg serwety. Nie było nikogo. Ani skrzynek z bronią. Nic. A co gorsze, nie było Crenshawa. - Pete! Gdzie jesteś? - jęknął przerażony. Spod podłogi dało się słyszeć skrobanie. - Mysz? Mysz Mortimer? - zaskowyczał oszołomiony. A dopiero później dostrzegł w świetle rozdygotanej latarki smugi kurzu i liczne ślady butów. Pół metra, może metr dalej jedna z desek wystawała nad podłogą. Tuż obok tkwił gwóźdź lub coś do gwoźdza podobnego. Jupiter Jones wziął zapas powietrza w płuca. Jak przed skokiem z trampoliny do basenu pełnego wody. Tu wprawdzie wody nie było, ale... dotknął ostrożnie dłonią wystającego kawałka metalu. Rozległ się głuchy zgrzyt, deski rozsunęły się, ukazując czarną dziurę. Jupiter odetchnął. Zrozumiał, że Crenshawa nie porwały wampiry. Trzeba tylko zabezpieczyć otwór przed ponownym zatrzaśnięciem się mechanizmu. Do tego posłużyło mu przewrócone krzesło. Teraz już spokojnie pochylił się nad otworem. - Pete, jesteś tam?

- Jestem - odezwał się głuchy głos. - Ale nie wpadaj do mnie na filiżankę herbaty. Poczekaj na górze.

- Co tam jest? - Jupiter słyszał tylko kroki, szmery, a potem chichot Crenshawa.

- Fajna melina! Jak słowo daję. Można zmieścić setkę ludzi. Łap za sznur i przywiąż go do nogi stołu. Muszę się trochę powspinać.

Jupiter przyglądał się zazdrośnie, jak jasna głowa Crenshawa pojawia się w dziurze. Pete wspinał się po linie niczym małpa w zoo. Sprawnie i bez wysiłku.

- Tak - powiedział tylko, gdy deski podłogowe znow zakryły tajny schowek. - Bob chyba miał rację.

- To znaczy? - obaj siedzieli pod serweta, z jedną zapaloną latarką.

- Są tylko ślady. Szmaty cuchnące smarem. W ogóle sporo tam szmat, starych materacy, kilka stołków i to - rzucił na podłogę płaski kawałek metalu.

Jupe pochylił się.

- To przecież medalion. Taki sam miał na szyi Mortimer!

- Tak jest - kiwnął głową Pete. - Litera: PO. Tyle że bez łańcuszka.

- Myślisz, że on tu był? No... nasza mysz? Więzili go w lochu? Zabili?

Pete pokręcił głową.

- Nie ma najmniejszych śladów krwi. Ani walki. W kurzu są tylko odciski butów. O ile mogłem się zorientować. Jest też przejście. Dobrze zamaskowane.

- Do drugiego budynku?

- Chyba tak. Jeśli ktoś wykopał tunel pod ulicą, można nim dojść do hotelu. Ale to jakieś stare dzieje. Dobra. Wyłazimy.

Nie wyszli od razu. Jakaś rodzina wrzeszczała po włosku tuż przed szklanymi drzwiami. Kobieta skakała do oczu mężczyźnie w przybrudzonym podkoszulku. Wygrażała mu pięściami, opędzając się od przypadkowych gapiów.

- Scena małżeńska made in Italy - westchnął Jupe, przykucając. - Biedny Bob, pewnie się o nas zamartwia.

Andrews nie miał czasu się martwić. Od godziny obserwował właściciela hotelu "Grazia Piena", rozmawiającego z czarnowłosym młodzieńcem w jasnej koszuli. Na nic się zdało podsłuchiwanie. Mężczyźni przekrzykiwali się w języku Dantego. Może tylko słownictwo było mniej klasyczne. I mniej poetyckie. Na szczęście nadeszła dziewczyna, z wyglądu raczej Meksykanka.

- Cześć, Juanita! - przywitał ją grubas. - Jest tu Roberto... Bob chwycił swój notes. I czarny długopis. Innych nie używał.

- Robert i Juanita - pisał, mrużąc. - Co z was za para?

Juanita była wyraźnie pod urokiem przystojnego Włocha.

- Wpadnij do agencji, Roberto - prosiła, stulając wargi w czerwone serduszko. Szminka, której używała, była nieco zbyt wulgarna. Tak jak uroda Meksykanki.

Gruby właściciel hotelu zaprotestował.

- Roberto nie powinien się z tobą pokazywać. Nie teraz. W przyszłym tygodniu oczekujemy dostawy... - zamilkł nagle, jakby mu osa usiadła na języku.

- Cicho, Vincenzo. Ani słowa więcej! - ciężka łapa Roberta spadła grubasowi na ramię. Aż się ugiął.

- Czy ja coś powiedziałem? - zaskomlał. - Czekam na dostawę fasoli i pięciu skrzynek czerwonego. Spizarnia pusta!

Juanita uśmiechnęła się.

- Jak je dostaniesz, daj znać. Chętnie się napijemy. Może będzie co oblewać?

Bob sapał pochylony nad notatnikiem.

- Agencja? - mrucał do siebie. - Ona pracuje w jakiejś agencji. Towarzyskiej? Chyba nie. Z ubrania sądząc, nie należy do kręgu panienek lekkich obyczajów. Ten kostium jest prawie elegancki. Tylko kolor szminki. Ale Meksykanki często przesadzają z odcieniami czerwieni. Będzie jakaś dostawa. Chyba jednak nie o wino chodzi. Raczej o broń. Wszystko wskazuje na to, że tu sporo osób handluje żelastwem. A czarnowłosy Roberto z dołeczkami w policzkach wyraźnie jest w całą sprawę zamieszany.

Nagle stojąca na chodniku trójka zamarła. Wyglądali, jakby jakaś nadprzyrodzona siła zatrzymała ich w pół gestu. Z holu wyszedł mężczyzna w jasnym, piaskowym garniturze i takiego samego koloru zamszowych mokasynach. Eleganckiego stroju dopełniała czekoladowa koszula i tabaczkowy krawat. Przypominał manekina z wystawy domu towarowego Macy's. Mężczyzna minął stojących i lekkim krokiem skierował się na drugą stronę ulicy. Wprost na czyhającego pod akacją Boba. Gdy go minął, chłopiec poczuł zapach dobrej wody kolońskiej. Mężczyzna miał ciemne, wijące się włosy i lekko odstające uszy. Coś w jego ruchach zastanowiło Andrewsa.

- No nie - zaszemrał, zdumiony własną wyobraźnią - to nie mógł być... Mortimer! Chyba że ostrzygł grzywę i zgolił brodę!

Nie wiedział, co robić. Stać w miejscu jak kołek czy ruszyć za facetem znikającym w głębi ulicy. Spojrzał jeszcze na trójkę tkwiącą na chodniku. Wyglądali, jakby zobaczyli ducha.

- To był on! - ryknął grubas.

- Niemożliwe - zasyczał Roberto. - Tamten był zarośnięty niczym zwierz z dżungli.

- Miał forszę - dorzucił właściciel hotelu. - Czeki. Musiał kupić nowe ciuchy. Cholera, trzeba zawiadomić patrona! Mógł coś sobie przypomnieć!

- To leć i dzwoń! - ryknął Roberto. - ja skoczę tam, gdzie trzeba!

Juanita została sama na chodniku.

- Roberto! Zaczekaj, Roberto!

Bob nie zastanawiał się dłużej. Ruszył ostrym sprintem w kierunku ulicy, gdzie zniknął elegancik w beżowych barwach. Kiedy dobiegł do skrzyżowania, przystanął. Mortimera nigdzie nie było. Jakby się zapadł pod ziemię. Andrews wracał jak niepyszny. Tuż koło starego forda usłyszał znajomy gwizd. Jupiter Jones zapuszczał silnik.

- Właż, Bob, wracamy!

Dopiero następnego dnia spotkali się w Kwaterze Głównej.

- Mówię wam, że to był on. Mortimer. Wyglądał jak angielski lord.

- A kiedy ty widziałeś ostatnio lorda? - zwątpił Pete.

- W kinie! Wiem, co mówię! Tak samo zdumieni byli gruby Włoch i Roberto. Tylko Juanita robiła wrażenie, jakby nie rozumiała ich zachowania. Mortimer wyglądał jak facet, który udaje się na wyścigi w Ascot. Nawet chusteczkę w kieszonce miał wyprasowaną. Wyglądał jak z żurnala.

Jupiter Jones pogwizdywał przez zęby.

- Teoretycznie możliwe. Widzieliśmy ostatnio zarośniętego niedźwiedzia w roboczym stroju. Ale nie zapominajcie, że miał trzy czek American Express na okaziciela. Facetowi znudził się obskurny wygląd. Zafundował sobie superciuchy w stylu bankierów z Wall Street. Ostrzygł się i ogolił. Ale nie sądzę, by mu wróciła pamięć.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Bob.

- Zmieniłby miejsce zamieszkania, jest wiele niedrogich, lecz schludnych hoteli w lepszych dzielnicach Rocky Beach. Jeśli tkwi dalej we włoskim "Grazia Piena", to tylko dlatego, że czeka, aż go coś spotka.

- Co? Cios w potylicę i zniknięcie pozostałych czeków?

Jupiter kręcił głową.

- Przecież gruby wie, że tamten ma czek. Gdyby je chcieli rąbnąć, dawno by to zrobili. Widocznie komuś bardzo zależy, żeby Mortimer miał za co żyć. Może nie tylko on czeka, aż wróci mu pamięć?

- Ale komuś innemu zależy, żeby mu nie wróciła! - warknął Pete. - Dalej nic nie wiemy.

Bob od godziny walił w klawiaturę. Na ekranie komputera zmieniały się obrazy.

- Czego szukasz, Bob?

- Medalionu. Dopiero teraz sobie przypomniałem. Były jednakowe.

Pete oparł się o ścianę.

- Możesz mówić jaśniej?

- Mogę. Pamiętacie, co miał Mortimer na szyi?

Jupiter Jones spojrział na niego z nadzieją. Na stoliku obok leżał srebrny przedmiot zabrany przez Crenshawa ze schowka pod stołem wróżki Clarissy.

- Taki jak ten. Owalny medalion z literkami PO. Dlaczego...

- Bo taki sam miała na szyi madame Montez! Widziałem go, jak was teraz widzę.

Pete usiadł na podłodze, wyciągając nogi.

- Albo ukradła go Mortimerowi, albo są dwa takie same.

Andrews znów odwrócił twarz ku ekranowi.

- Medalion to znak. Otworzyłem portal Muzeum Okręgowego. Szukam w starych aktach, dokumentach sprzed wielu lat.

- Sądysz, że jakaś grupa ludzi posługuje się medalionem jako znakiem przynależności do... organizacji? - westchnął Jupiter. - Ten wygląda na bardzo stary.

- Sataniści? - jęknął Pete. - Czarna magia? Wróżka i pan mysz, który utracił pamięć? Ale to ona go przytąszczyła do hotelu. Para handlująca bronią i starymi materacami?

Jupiter Jones prychnął.

- Wszystko możliwe. W końcu myszek nie wie, kim jest. Równie dobrze może być szefem gangu.

Pete długo nie wytrzymał w jednej pozycji. Wstał, wciągając dres.

- Bzdura! Gruby Włoch by wiedział. A także ten... przystojniak, jak o nim mówi Bob...

- Roberto. Ludzie... mam!

- Co? - Pete, z jednym rękawem powiewającym niczym sztandar, rzucił się w kierunku komputera. I oniemiał.

- Taki sam. Jak go znalazłeś, Bob?

Jupiter Jones włożył gumę do ust. Silny smak mięty go otrzeźwił. Zajrzał Bobowi przez ramię.

- Dokładnie taki sam. Owalny medalion wielkości srebrnej dolarówki. Liście wawrzynu i litery: PO. Co one oznaczają, Bob?

Andrews powiększył pole.

- To nie wawrzyn, tylko liście akantu. Jak na starorzymskich kolumnach. Litery PO to inicjały... Prosper Osborne. Nazwisko historycznego odkrywcy Alaski. Razem z Beringiem... on był...

Rumor, jaki się rozległ przy wejściu, zaskoczył detektywów.

Gdy się obejrzel, elegancki mężczyzna w beżowym garniturze leżał na schodkach obok Kaczora Donalda, zaczepiony modnym pantoflem o wyszczerbioną gumową wycieraczkę.

- Mortimer! - ryknął Pete, rzucając się na pomoc. - Zemdlął? Dużo czasu upłynęło, zanim pan mysz wrócił do siebie. Mrugając oczyma, rozglądał się po zagraconym wnętrzu. Zaciekawili go jedynie bokerskie rękawice Crenshawa.

- Twoje?

- Tak. Od czasu do czasu uprawiam boks. Pan też?

Mortimer próbował usiąść. Z rozciętego czoła sączyła się strużka krwi. Pete sprawnie założył opatrunek.

Jupiter Jones żuł gumę z szybkością młota parowego.

- Wie pan już, kim pan jest?

Mortimer skrzywił wargi.

- Wiem, że szedłem do was, bo nie mam tu nikogo, kto mógłby mi pomóc. Poszedłem do fryzjera, kupiłem ubranie... musiałem zobaczyć, jak wygląda moja twarz bez zarostu. Myślałem, że...

- Sądził pan, że to pomoże przypomnieć sobie, kim pan jest? Odbicie w lustrze? I co?

- Nic. Moja nowa twarz jest mi tak samo obca, jak ta zarośnięta.

- Dlaczego znów stracił pan przytomność? - Bob kucał obok nieszczęśnika. - Stało się to w momencie, gdy wymówiłem nazwisko Prosper Osborne? Mówi to coś panu?

- Nie wiem. A kim on był?

Bob wskazał dłonią na ekran komputera.

- Zasłużona rodzina irlandzka. Pierwszy Prosper Osborne z Beringiem...

- Słynny żeglarz i odkrywca! - dorzucił Pete. - Razem przemierzili Alaskę. Potem wyprawili się nad Yukon, gdzie Osborne odkrył żyły złota. Stały się potem jego obsesją.

- Kiedy? - westchnął Mortimer, trąc podbródek.

- Okropnie dawno - stwierdził Bob. - W 1792 roku.

- Wie pan - pochwalił się Jupiter - to było zaraz po utworzeniu Stanów Zjednoczonych.

Mortimer zamyślił się głęboko.

- Ten medalion, który ma pan na szyi, nosili potomkowie Prospera Osborne'a. - dorzucił Bob. - Ale nie tylko! Jeden znaleźliśmy u wróżki...

Jupe położył palec na nosie.

- Bob, to są szczegóły nieistotne...

Mortimer uważnie słuchał.

- Ale... co z tego, że jakiś Osborne odkrył złoto? Co ja mam z tym wspólnego. Tylko ten nieszczęsny medalion?

Bob kręcił głową.

- Medalion został po raz pierwszy wybity za prezydenta Ulyssesa Granta. Pamiętasz, kiedy rządził, Jupe?

Pierwszy Detektyw pękł jak nakłuty balonik. Nigdy go specjalnie nie obchodzili prezydenci. Pewnie kiedyś się tego uczył. Ale czy się nauczył?

- Nie! - warknął niezadowolony.

- Ja też nie wiem - przyznał się Pete.

Bob miał litość nad przyjaciółmi.

- Powiedzmy, że data jest mniej ważna. Ale to właśnie za czasów Granta powstał Uniwersytet Kalifornijski z siedzibą w Berkeley. A potomkowie Prospera zakładali setki fundacji naukowych.

- I co z tego? - smutno kiwał głową Mortimer. - Dalej nie wiem, skąd mam ten medalion. I ta... wróżka? Mam wrażenie, że moje myśli stoją w korku, jak samochód na autostradzie do Malibu.

- Niech pan posłucha - Jupiter wyjął gumę z ust i przykleił do nogi od stołu. - Wokół pana coś się dzieje. Jest grupa ludzi handlujących bronią. Są związani w jakiś sposób z wróżką Clarissą Montez.

- To ona przywiozła pana do hotelu - dorzucił Pete.

- Zamieszani są również właściciele hotelu "Grazia Piena" oraz niejaki Roberto o nieznanym na razie nazwisku.

- A także Juanita. Chyba Meksykanka.

- Czyli nie wiecie nic. - Mortimer wstał.

- Ależ wiemy! - Pete pomógł mu zejść ze stromych schodków. - Tyle, żeby pana ostrzec i równocześnie prosić...

- Mam nie zmieniać hotelu?

- Brawo! - Jupiter Jones głośno zaklaskał w dłonie.

- Nie mam zamiaru. Choć karaluchy są tam tak wielkie, że powinny nosić tablice rejestracyjne! Wciąż myślę, co ja mam z nimi wspólnego?

Jupiter musiał przyznać w duchu, że z punktu widzenia prokuratora śledztwo nie posunęło się

ani o centymetr. Wręczył Mortimerowi kartonik.

- To jest nasza wizytówka. Adres Kwatery Głównej już pan zna. Ale są jeszcze dwa telefony, adres poczty elektronicznej i komórka Boba. W razie czego...

- Będę wzywał pomocy! - uśmiechnął się niczym myszka Miki.

- Wygląda, jakby go dziesięć minut pieczono w mikrofalówce powiedział chwilę później Pete, kopiąc kamyk.

- A ty jak byś się czuł, nie wiedząc, kim jesteś? - wybuchnął Bob. - W życiu liczy się tylko...

- W życiu liczą się tylko dwie sprawy - przerwał Pete. - Śmierć i podatki!

- Sam to wymyśliłeś? - zachnął się Jupiter.

- Nie. Powtarza mi to do znudzenia szef produkcji wytwórni filmowej Universal. Gdzie powinienem być od godziny.

- Twój tato produkuje następne gwiazdne wojny? - zainteresował się Bob. - Chętnie polatałbym na którejś z makiet.

Pete rozłożył ręce.

- Nie te czasy, Bob. Dziś takie sceny fabrykuje się, nie wychodząc z atelier, na kamkorderach podłączonych do komputerów. Życie idzie naprzód, panie Andrews. I nic nam nie da grzebanie się w historii Alaski czy Jukonu!

Bob zachmurzył się. Wierzył w komputery, Internet i wszystkie zdobycze elektroniczne ostatniego pięćdziesięciolecia. Ale kochał także stare atlasy, pożółkłe rękopisy i zapach drukarskiej farby. Tego nic nie zmienia. Nigdy.

ROZDZIAŁ 4

CO SIĘ ZDARZYŁO W BIURZE PODRÓŻY?

- Vanessa idzie do wróżki - oznajmił Crenshaw, rzucając w kąt torbę z rakieta do tenisa.

- I co? - ucieszył się Bob. - Ma nadzieję, że wywróży jej małżeństwo z tobą?

Pete parsknął jak spłoszony koń.

- Oszalałeś? Gdzie Jupiter?

- Zaraz tu będzie. Kończy porządkowanie placu. Wuj Tytus przywiózł nowy złom.

Pete wyjął z kieszeni parę kartoników.

- Bob, poznajesz kogoś na tym zdjęciu?

Andrews poprawił okulary.

- Skąd je masz?

Pete westchnął.

- Co mówi szóste prawo detektywa? Najpierw odpowiedzieć na pytanie, a potem cała reszta. Gra?

Bob przerzucał fotki.

- Juanita! - krzyknął. - Juanita! Meksykanka, która rozmawiała przed hotelem "Grazia Piena" z właścicielem i niejakim Roberto.

- Jesteś pewien?

- Jasne. Ale dlaczego...

Wszedł Pierwszy Detektyw z kanapką w dłoni. Pozostałe przyciskał drugą ręką do brzucha. Toteż wielka plama z musztardy załała koszulkę ze znużoną twarzą kapitana drużyny Dodgersów.

- Ciotka Matylda przygotowała dla was, ale nie miałem pod ręką talerzy i...

- Przestań rozmazywać mu nos! Freddy musi pójść do prania!

Jupiter Jones opadł na kanapę. Zaskrzypiały wyłazące z niej sprężyny.

- Myślałem, że robota na placu nigdy się nie skończy! - jęknął. - Umieram z głodu!

- Pete obi... ęcie... Juanicie - wymamrotał Bob z pełnymi ustami.

- Powtórz! - zażądał Jupiter.

Bob przełknął ogromny kęs.

- Mówię, że Pete zrobił zdjęcie Juanity. Poznałem ją. To ta dziewczyna...

- Wiem! - sapnął Pierwszy Detektyw, gdy już uporał się z ogromnym plastrem indyka. - Co Pete wie o Juanicie?

Crenshaw nie spieszył się. Jadł powoli i spokojnie, przypatrując się, jak koledzy pożerają bułki w tempie równym temu, w jakim Bob Dylan szarpie struny gitary.

- Zaraz. To ma związek z wróżką i Vanessą.

Chwilę panowała cisza, jeśli nie liczyć mlasków i cmokania.

- No? - Jupiter otarł usta dłonią. Pozostały na niej resztki liścia sałaty.

- Było tak - zaczął Crenshaw - przed pójściem do wróżki Vanessa chciała wstąpić do jakiegoś biura podróży...

- Wybiera się do Honolulu? - roześmiał się Bob. - W szkole zawsze, gdy dostawała pałę z geografii, mówiła, że to jej nie przeszkodzi w podróży do Honolulu!

- Nie. Załatwia bilety do Kostaryki dla klienta. Weszliśmy do Palermo Travel, by zapytać, czy są jakieś zniżki posezonowe na samolot. Miałem ze sobą aparat. Ten stary grat, który Bob wyrzucił...

- Niczego nigdy nie wyrzucam! - zaperzył się Andrews.

- Spokój! - huknął Jupiter. - Jeden mówi, reszta słucha!

- Tak jest! - Pete usiadł na podłodze. W Kwaterze Głównej zawsze było ciasno.

- Drugie prawo Trzech Detektywów. No więc kiedy dziewczyna stuknęła na komputerze, ja trzasnąłem fotkę Vanessie. I nic pewnie nie zwróciłoby mojej uwagi, gdyby nie telefon. Dziewczyna podniosła słuchawkę. Rozmowa trwała krótko: "Tak, pani Clarisso. Mówi Juanita. Nie, Roberta nie było. Dobrze. Jutro o szesnastej".

Bob z wrażenia przełykał ślinę.

- Wszystkie imiona z naszej bajki!

- Właśnie. Dlatego następne zdjęcie zrobiłem Vanessie i tej dziewczynie. Nawet tego nie

zauważyła.

- Doskonale - pochwalił Jupiter. - I co dalej?
- Vanessa zapisała ceny biletów i wyszliśmy. Odprowadziłem ją aż pod drzwi Clarissy Montez.
- Nie wszedłeś? - zdziwił się Bob.
- Po co? Żeby pchać się do jaskini lwa! Nawet nie poczekałem...

Telefon zabrzączał złowieszczo. Odebrał najbliższy siedzący Bob.

- Co? Jesteś pewna? - jego oczy rozszerzyły się niczym po atropinie. Odłożył słuchawkę i wytarł dłoń. Jakby była brudna. Albo lepka. Chwilę milczał.

- Kto? - Jupiter Jones połknął ostatni kęs.

- Vanessa - wyszeptał Andrews, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w muchę siedzącą na ekranie komputera. - Jest na posterunku policji.

- Gdzie? - wrzasnął Crenshaw, gwałtownie wstając. Ale w Kwaterze Głównej, przerobionej ze starej przyczepy kempingowej, nie wolno zachowywać się nieodpowiedzialnie. Toteż po chwili masował lewy bark, którym solidnie wyrznął o ścianę. - Powtórz.

Bob pomału przychodził do siebie. Mówił wolno, wyraźnie, od czasu do czasu przełykając ślinę.

- Musimy jechać na komisariat. Vanessa mówi, że wróżka nie żyje. Ktoś ją zamordował.

- Clarissę Montez? Dlaczego? Może... któryś z handlarzy bronią?

Bob wzruszył ramionami.

- Vanessa mówiła, że siedziała za stołem. Z dziurą w czole. Ale dziurę Vanessa zauważyła dużo później. Bo tam w środku, mimo dnia, jest ciemno. Vanessa narobiła strasznego wrzasku. Zlecieli się ludzie, przyjechała policja i...

Pete przestał rozcierać ramię.

- Jedziemy! Wpakowaliśmy dziewczynę w szambo, trzeba ją z niego wyciągnąć!

W komisariacie szalał Mat Wilson, opędzając się od dziennikarzy z miejskiego kanału telewizji i paru stacji radiowych. Przewodził im farbowany na blond Benjamin Roberts - gwiazda stacji CBS-Radio.

- Panie sierżancie! - podtykał swój mikrofon prawie pod spocone ucho szefa posterunku. - Panie sierżancie, co już wiadomo o morderstwie znanej w mieście wróżki?

Mat Wilson opędzał się niczym od sfory rozwścieczonych ogarów, które jakoś nie poszły w las.

- Proszę państwa! Śledztwo jest w toku. Zeznanie złożyła osoba umówiona z Clarissą Montez... zastała ją martwą i...

- Czy znany jest kaliber broni, z której strzelano?

Mat zamykał i otwierał usta. Wreszcie wyrzwał pięścią w biurko, aż podskoczyła szklana popielniczka.

- Cisza! Broń należała do pani Montez. Legalnie. Koniec pytań. Nie mam nic więcej do dodania!

Trzej Detektywi przysłuchiwali się wymianie zdań. Sądziło się, że spotkają Vanessę, ale dziewczyny nigdzie nie było. Kiedy do budynku wszedł konstabl George Lawson, runęli w jego kierunku.

- George! - Jupiter Jones zakrywał dłonią ślady po musztardzie. Nie zdążył zmienić koszulki. - Gdzie jest Vanessa?

Lawson nadał się niczym indyk.

- Nie mam obowiązku...

- Ależ masz! - wyszeptał Pete, podchodząc bliżej. Czasem mówili do niego po imieniu. - Jesteś nam od dawna winien przysługę. Już zapomniałeś?

George zdjął czapkę, międląc daszek w spoconych palcach.

- Zawsze czegoś chcecie, a kiedy ja proszę o parę pomysłów dla policji, to zasłaniacie się tym, że jesteście amatorami! Nie tak było ostatnio?

Bob postanowił zostać rozjemcą. Przyjaźń z Lawsonem bywała czasami trudna do wytrzymania, ale bez niej miotaliby się niczym kawałki lodu w przerębli.

- George, panie konstablu, zawsze dobrze jest wspierać się nawzajem. Gdzie jest Vanessa?

- U koronera Bullita.

- A koroner?

- Pojechał na miejsce zbrodni. Właśnie stamtąd wracam.

Jupiter Jones dał znak przyjaciołom.

- A... ekipa techników?

George Lawson miał głęboko nieszczęśliwą minę.

- No... jeszcze nie przyjechała.

Chłopcy w jednej sekundzie byli na zewnątrz. I choć stary ford, jak zawsze, nie chciał zapalić - wystartowali w końcu, by łamiąc parę przepisów drogowych, dotrzeć do włoskiej dzielnicy wcześniej niż ekipa śledcza wąsatej Sanchez.

- To skąd Vanessa dzwoniła? - dziwił się Pete. - Mówiłeś, Bob, że z posterunku?

Asndrews wzruszył ramionami.

- Tak zrozumiałem.

Wejście do kanciapy wróżki blokowały żółte policyjne taśmy rozciągnięte pomiędzy drzewami. Ludzie z okolicy tłumnie zbiegli się na miejsce zbrodni i, jak to Włosi, głośno dyskutowali, gestykulując zawzięcie. Jeden policjant pilnujący porządku zupełnie sobie nie radził. Na dodatek też był Włochem, więc jego utarczki z rodakami rychło przemieniły się w przepychankę.

- Spokój! - huknął Crenshaw, podwijając rękawy. - Jupe, stań tutaj i nie pozwól gawiedzi zbliżyć się do drzwi. Bob, postaraj się przejść. Z aparatem!

Policjant z ulgą przyjął pomoc.

- Kim jesteście? - wymamrotał, ocierając pot z czoła.

- Przysłał nas konstabl Lawson - powiedział Jupiter, wciąż żałując, że nie przebrał się w coś czystego. Deprymowała go wielka plama z musztardy. - Nie wchodzić!

Bob śmignął pod żółtą taśmą. Nikt nie odważył się go powstrzymać. Zniknął w ciemnościach kanciapy tuż za zasłoną ze sznurków brzęczących koralu.

O dziwo, nie było tam ani Vanessy, ani koronera Bullita z nieodłącznym cygarem z ustach. Gdy oczy przywykły do mroku, Bob dostrzegł olbrzymi stół znany z poprzedniej wizyty. Ale tym razem w obszernym fotelu siedziała Clarissa Montez z dziurą pośrodku i czoła. Była martwa. Tak bardzo martwa, jak to tylko możliwe. Jej dłonie leżały jedna obok drugiej. Pomiędzy palcami błysnęło coś srebrnego. Bob opanował nerwy.

- Zdjęcia - wymamrotał - muszę zrobić zdjęcia, zanim ktoś mnie na tym przyłapie.

Aparat pstrykał, flesz włączał się, by rozświetlić mrok. To coś srebrnego między palcami o długich, krwistych paznokciach okazało się rozerwanym łańcuszkiem. Clarissa o szeroko otwartych, lekko zdumionych oczach nie miała na szyi medalionu.

Bob ciężko dyszał. Pracował w pocie czoła, wiedząc, że jest to jedyna, niepowtarzalna okazja, bo zaraz przybędą technicy, po których nikt już nie zobaczy wnętrza takiego, jakim było w godzinie śmierci. I pomimo strachu zanurkował pod stół. Ale podłoga była równa. Żadna deska nie odstawała ani o milimetr. Ani śladu skrzynek amunicji czy broni. Nic prócz kurzu. Ostrożnie wycofał się na czworakach. I to go uratowało.

Do wnętrza wkroczyła bowiem sama Sanchez - gruba, mała, z czarnym wąsem nad górną wargą. A wraz z nią ludzie z policyjnej ekipy technicznej.

Bob zdołał poraczkować w kierunku parawanu z chińskiej laki stojącego tuż przy wyjściu. Ludzie Sanchez zapalili reflektory. Wnętrze w ich świetle nabrało iście filmowego charakteru. Spelunka wróżki wyglądała teraz niczym marna dekoracja do horroru najpośledniejszego gatunku. A sama Clarissa Montez upodobniła się do żółtawej atrapy z Muzeum Figur Woskowych.

Bob, korzystając z chwilowego zamieszania, chyłkiem, boczkiem wycofał się za drzwi. Ścisnął przytulony do piersi aparat niczym największy skarb.

Policjant wciąż się użerał z tłumem ciekawskich. Stróżowi porządku pomagał Pete i, od czasu do czasu, Jupiter. Ten ostatni wszakże uważnie obserwował gromadzących się ludzi.

- Udało się? - spytał Boba.

- Tak. Zrobiłem tyle zdjęć, ile się dało. Ona wygląda jak wielka woskowa świeca z dziurą na knot - powiedział, głośno oddychając. Wciąż czuł w nosie zapach trociczek, którym przesiąknięte było wnętrze. - Pod stołem pusto. Boję się, że zostawiłem ślady.

Jupiter machnął dłonią.

- Nieważne! Pamiętaj, że do wróżki chodziła cała masa ludzi. Wszyscy zostawiali ślady.

- I nie ma na szyi medalionu.

Jupiter ssał wargę.

- Czyżby ten spod podłogi należał przedtem do niej?

- Na to wygląda. W jej rękach został tylko łańcuszek. Ten medalion na pewno jest znakiem. Tylko jakim?

Jupiter skinął głową. Sam był tego samego zdania.

- Nic tu po nas. Zawołaj Pete'a. Jedziemy do Kwatery Głównej. Wśród gapiów widziałem też naszą parę z hotelu. Signora Graziella chlupała jak stado krokodyli.

ROZDZIAŁ 5

CO ZNAJDOWAŁO SIĘ NA STATKU "ARIEL"?

- Za dużo tam było dziennikarzy - Bob ładował się na przednie siedzenie forda. - Szczególnie mnie denerwuje ten farbowany.

- Benjamin Roberts? - włączył się Pete. - Uwielbiają go słuchaczki CBS-Radio.

- Tym gorzej. Facet jest wścibski. Jak go wyrzucają drzwiami, włązi oknem. Będzie nam przeszkadzał. I ma naszą wizytówkę. Widziałem.

Bob poprawił okulary.

- Skąd?

Jupiter Jones przemknął na czerwonym świetle przez skrzyżowanie.

- Pewnie z policji. Leżą tam na stole. Gerorge czasem je podrzuca w różne miejsca. Nie rozumiem, jak można uwielbiać faceta, który mówi jak komputer z filmu "Odyseja kosmiczna". Co z Vanessą?

Pete włożył czarne okulary.

- Nie mam pojęcia. Wyparowała. Albo ją porwali kosmici.

W Kwaterze Głównej czekała ich niespodzianka. Na zielonej kanapie siedział rozparty w najlepsze ich KLIENT: Mortimer.

- Co pan tu robi? - zdziwił się Jupiter Jones.

- Specjalnie pan przyszedł? - bąkał Pete.

- Cieszcie się, że nie wyskoczyłem z tortu! A klucz był w dziobie tego frajera kacзора. Widziałem, jak go tam chowaliście. Co z czarownicą?

- Jaką? - Bob przyglądał się porządkowi, a raczej totalnemu bałaganowi na biurku. Wolał, żeby nikt postronny nie dotykał jego komputera. Nigdy.

- Clarissą Montez. Moje grubasy o mało nie dostały ataku serca.

- Właściciele hotelu? - burczał Jupiter. - Może pan zna chociaż ich nazwiska? Bo my tylko imiona...

- Pergola. Vincenzo i Graziella Pergola. Przyjaciółka zaś to Juanita Montenegro. Pracuje w

biurze podróży.

Pete przyjrzał się Mortimerowi.

- Dobrze się pan czuje? Rana nie dokucza? Wyraźnie pan poweselał. I dowiedział się tylu rzeczy...

Mortimer wzruszył ramionami.

- Sądzę, że mam dobrą... to znaczy miałem dobrą pamięć. Przed wypadkiem...

- Umie pan obsługiwać komputer? - Bob zmierzwił włosy.

Gość podniósł się z kanapy. Przykucnął przy biurku. Bez problemów włączył przeglądarkę. Za chwilę klikał myszą, szukając w Internecie biur podróży.

- To też pan potrafi - ucieszył się Pete. - Co z tymi biurami?

- Dwadzieścia dwa w całym Rocky Beach. I trzy filie. Biuro, w którym pracuje Juanita Montenegro, nazywa się Palermo Travel. Właścicielem jest Solo Catalucci.

- Znów Włosi. Może mafia? - zainteresował się Jupiter. - To miałyby sens. Przemyt broni z Palermo... gdzie to jest?

- Na Sycylii - Bob przeglądał atlas. - Przemyt broni byłby dość opłacalny. Chyba.

- Musimy przyjrzeć się ludziom z tej agencji turystycznej - mruczał Jupiter.

- Mogę się do was przyłączyć? - odezwał się nagle Mortimer. - Inaczej zwariuję!

Pierwszy Detektyw zastanawiał się chyba o minutę zbyt długo. Bob i Pete wpatrywali się w niego z nadzieją.

- No... dobrze - wybąkał wreszcie. - Ale będzie pan robił tylko to, co każemy. Żadnego wyskakiwania przed orkiestrę. Jest tylko Trzech Sławnych Detektywów w tym mieście!

- Będę sprzątał - uśmiechnął się pan myszek. - I weźcie jeszcze jedno pod uwagę: mam czeki na dwa tysiące dolarów. Tyle mi zostało. No, nie licząc paru banknotów... mogą być do waszej dyspozycji.

Pete klepnął Mortimera po ramieniu.

- Porządny z pana facet. My zresztą nie szastamy forszą. Ale akurat teraz jesteśmy do tyłu. Potrzebujemy na benzynę.

Mortimer sięgnął do portfela. Był nowy. I chyba drogi.

- Słowa wystarczy?

Bob obracał w palcach banknot.

- Za dużo.

- Ja się zgadzam! - wtrącił szybko Jupiter. - Bob, zapisz, że wzięliśmy na paliwo i chipsy z cebulą. Nasza lodówka wymaga też paru puszek coli.

Śmierć wróżki Clarissy Montez nie spowodowała ani paniki na giełdzie nowojorskiej, ani wściekłości lokalnych mediów. Po trzech dniach gędzenia nawet Benjamin Roberts musiał przyznać, że policja w Rocky Beach: “zrobiła wszystko, co mogła. Nie wiadomo, kto zamordował nieszczęsną kobietę. Może jakiś sfrustrowany klient, kiedy karty wykazały, że żona go nie kocha...”

Tylko w Kwaterze Głównej nie tracono nadziei.

- Wiesz co. Bob? - Jupiter Jones chrupał orzeszki. Forsa od pana myszka spadła na detektywów niczym biblijna manna z nieba. - Przejedziemy się do Palermo Travel. Poobserwujemy.

- A Crenshaw?

- Jest na treningu. Grają wieczorem z gnojkami z Santa Clara.

Biuro jak biuro. Dobrze usytuowane, przy jednej z głównych ulic miasta, nosiło znamiona zamożności. Kryształowe szyby odsłaniały eleganckie wnętrze: mebelki z giętych rurek stalowych, lśniące czarno-białe szafki, biurka z wazonami ładnie ułożonych kwiatów. Trzy dziewczyny plotkowały przy kawie. Filiżanki były stylowe. I dziewczyny.

- Szkoda, że nie mogliśmy wziąć Pete'a - zachmurzył się Bob. - Żaden z nas nie ma szans, by się z którąś umówić.

Jupiter strzepnął okruchy po orzechowych ciasteczkach. Choć znów utył, nie potrafił się wyrzec podgryzania. Już w dzieciństwie nazywano go Małym Tłuscioszkiem. Rzeczywiście. Ani on, ani chudy jak tyka Bob, z opadającymi na nos okularami, nie mieli wielkich szans u dziewczyn w perłowych mundurkach.

- Ty, ja go znam! - wrzasnął nagle Bob, odrywając od oczu lornetkę.

- Kogo?

- Faceta. Tego, który idzie chodnikiem. W dzinsowej kurtce i białych spodniach. Wygląda jak żigolak. To Roberto! Stał pod hotelem, gdy przeszukiwaliście w nocy kanciapę wróżki.

- Jasne - uśmiechnął się Jupe. - Ileż on ma brylantyny na włosach. Wygląda jak Al Capone z czasów prohibicji. I jeszcze te dołeczki w policzkach! Gdybym nie oglądał starych filmów, nie

wiedziałbym, że to portret Sycylijczyka. Czeka, on wchodzi do biura! Biegiem, Bob!

Trzasnęły drzwiczki forda. Biegiem - to w przypadku tęgiego Jupitera nie wyglądało na olimpijski sprint. Dopadli drzwi.

- Chwi... chwileczkę - wysapał Jupiter - pytamy o wycieczkę dla college'u. Do Włoch. Jakie tam są miasta?

Bob przymknął oczy. Grzebał w zasobach pamięci.

- Rzym. A także Florencja.

- Wchodzimy - Jupiter uciszał rytm krwi - ty pytasz, ja podsłuchuję, o czym mówi Roberto. Mortimer powiedział, że nazywa się Montalban.

Bob natychmiast przedzierzgnął się w turystę spragnionego wrażeń. Przypomniawszy sobie nawet o dwóch wulkanach. Koniecznie chciał wjechać kolejką linową na szczyt choć jednego z nich. Podczas gdy uprzejma dziewczyna o czarnych oczach robiła wstępną kalkulację, Jupiter Jones posuwał się w stronę zamkniętej części biura. Pod pretekstem obejrzenia wspaniałych zdjęć z Bolonii i Sieny krok po kroku zbliżał się do uchylonych drzwi, za którymi zniknął wypomadowany Roberto. Ku swemu zdumieniu usłyszał głos ostro besztający przybysza.

- Mówiłem, żebyś tu nie przychodził? Mówiłem?

- Tak. Ale Vincenzo spanikował. A dziś jest dostawa. Nora u Clarissy nieaktualna. Policja zagroziła teren. Gdzie towar?

- W starym porcie. Na nadbrzeżu. Statek nazywa się "Ariel". A teraz znikaj! Już!

Jupiter Jones ledwie zdążył odskoczyć. Roberto rzucił dziewczynom przelotne: halo! Bob wylewnie dziękował za cennik i wszelkie niezbędne informacje.

- Uczniów jest sześćdziesięciu. Zgłoszę się za tydzień - obiecywał perfidnie. Nie znał ani jednego ucznia, którego stać by było na wycieczkę do Europy.

- Nadbrzeże w starym porcie. Statek "Ariel" - mrucał Jupiter, włączając silnik. - Co ty na to?

- Kiedy?

- Dziś. Roberto pytał: gdzie towar?

Bob zapisał dane.

- Bez Crenshawa nie damy rady. A on ma mecz z chłopakami z Santa Clara. Nie zostawi ich na łodzi. Wiesz o tym. Chyba że...

Jupiter Jones przygryzł wargi.

- Myślisz o... panu myszku?

Bob skinął głową.

- Obiecaliśmy mu... dał forszę.

Jupiter z wściekłości przyhamował i omal nie wjechał w bagażnik wyprzedzającego mercedesa.

- Dobra - wyszemrał z rezygnacją. - Ale nie biorę odpowiedzialności. On się nie podporządkuje.

Bob wzruszył ramionami.

- Przecież i tak zawsze masz ostatnie słowo.

Mortimer zadzwonił do Kwatery Głównej w czasie, gdy Pierwszy Detektyw gromadził w torbie niezbędny sprzęt.

- Wie pan, gdzie jest nadbrzeże starego portu? - spytał bez wstępnych wyjaśnień.

- Nie. Ale się dowiem.

- Dziś przyplynie statek o nazwie "Ariel". Z towarem. Będziemy tam z Bobem po zmroku.

- W porządku. Ja też.

Zostawili wiadomość dla Crenshawa. Razem z kluczem do Kwatery Głównej. Ciotkę Matyldę uprzedzili, że jadą na nocne przeszeptki.

- Niech ciocia nie czeka z kolacją.

- To chociaż weźcie kanapki!

Tej prośbie nie mogli odmówić. I nie chcieli.

Zmrok zapadał wcześnie. Chmury wisały nisko, choć ani kropla deszczu nie spadła w promieniu stu kilometrów. Stary port był pozostałością po dawno zlikwidowanych dokach. Służyły spółce wydobywającej ropę naftową. Od kiedy ekolodzy podnieśli wrzask, że giną od tego jakieś niezwykle rzadkie wodorosty czy morskie glony, zaniechano przeładunków. Port opustoszał, a wielkie żurawie śmiesznie wyglądały na tle zachodzącego słońca. Budynek w niedługim czasie zaczął straszyć powybijanymi oknami. Dewastacja dotknęła jeszcze jeden teren wart milionów dolarów.

- Jupe - zdziwił się Bob - przecież tu żaden statek nie ma prawa przycumować. Co na to

powiedziałyby czujna straż przybrzeżna?

Pierwszy Detektyw zaparkował tak, by być prawie niewidocznym, lecz móc w każdej chwili odjechać. Nie wiedział, co ich czeka. Nikt tego nie wiedział.

- Stoi tu już jakiś stary wrak - powiedział, zakładając noktowizor.

- Wrak. To co innego. Nie przypłynął ani dziś, ani wczoraj. Raczej wrósł w nadbrzeże sto lat temu. Jest całkowicie zardzewiały. Widzisz jego kadłub?

- Widzę. Nie ma Mortimera. Pewnie stchórzył.

Bob pokręcił głową

- Nie sądzę. Co robimy?

- Czekamy. Nie ma żywej duszy. W promieniu stu metrów.

Ciemności spowodowały, że gdzieś zapodział się horyzont. Niebo zlało się z ziemią. Ocean oddychał lekkim poszumem. Mijały kwadransy, a nic się nie działo.

- Pójdę zobaczyć! - zdenerwował się Andrews. - Może myszek wpadł do jakiejś dziury i nie umie się wydostać? - Już łapał za klamkę, gdy powstrzymał go mocny chwyt Jupitera.

- Nie ruszaj się! Widzę światło latarki. Kilka metrów od żurawia. Tego z prawej strony.

- Nic nie widzę! - wymruczał Bob. - Jest! Rzeczywiście! To na pewno Mortimer. Dam mu znać i...

- Powiedziałem: nie ruszaj się! - kuksaniec Jupitera był bolesny. - Nie wiemy, kto to taki!

I miał rację. W ciągu paru minut na nadbrzeże zajechały dwa samochody i stary, zdezelowany autobus.

Chłopcy prawie położyli się na przednich siedzeniach, choć ford stał w zupełnie niewidocznym miejscu. Ostrożność mieli we krwi.

- Po co im autobus? - głowił się Bob.

- Do przewozu ładunku? - Jupiter też miał wątpliwości. - Przecież jeśli tam załadują broń, policja drogowa natychmiast ich złapie.

- Jakiś warkot. Jakby motorówka. - Jupiter myślał gorączkowo. - Może statek "Ariel" stoi na redzie? Nie przybije do portu? A ładunek przywiozą motorówką.

Bob zdążył tylko schylić głowę, gdy nad portem pojaśniało. Jakby ktoś wystrzelił ogień

sztuczne. Kilka ludzkich cieni rzuciło się do ucieczki. Samochód, który stał z włączonym silnikiem, właśnie ruszał, kiedy złapały go dwa potężne reflektory.

- Stać! Policja! - rozległ się przez megafon znany głos.

- Mat Wilson! - jęknął Jupiter, łapiąc się za głowę. - I George Lawson ze swoimi chłopakami! Skąd wiedzieli?

Bob przyłożył do oczu wielką kapitańską lunetę.

- Chcesz wiedzieć, skąd? - warknął. - To patrz!

Jupiter nie wierzył własnym oczom. Obok policjantów kręcił się nie kto inny jak ich "klient".

- Mortimer, niech cię diabli! - wrzasnął. - Zdrajca! Zawiadomił policję, szczer jeden!

- Myszek. Nasz beżowy, elegancki myszek! - ironizował Bob.

- Słuchaj, oni tu musieli być przed naszym przyjazdem. Nie zwrócili uwagi na nasz samochód?

- Ależ tak! - odezwał się dudniący głos. - Obserwowaliśmy was od godziny! - Mat Wilson stał, podpierając się pod boki. Wielki, staromodny kolt kołysał mu się na biodrze. - Co tu robicie, panowie detektywi ?

- Nnic - stęknął Bob. - No... nic. Przecież nawet nie wysiedliśmy z samochodu.

- Obserwujemy życie glonów! - Jupiter miał szczerzy zamiar zaprzeć się wszystkiego. Nawet własnego nazwiska, ciotki Matyldy i placka z melonem, który uwielbiał.

- Do domu! - warknął policjant. - Nic tu po was! George! Wszyscy wyłapani? Ci z motorówki też?

- Tak jest, panie sierżancie. Ale to sami Meksykanie.

Jupiter, chcąc nie chcąc, zapalił silnik.

- A może mi pan powiedzieć, kto was tu ściągnął?

Mat roześmiał się.

- Guzik to was obchodzi! Do domu, chłopaki! już!

- A broń pan znalazł? - odezwał się piskliwie Bob. Kiedy się denerwował lub bał, jego głos brzmiał niczym najczystszy dźwięk harfy.

Mat zatrzymał się. Buty zaskrzypiały na żwirze.

- Jaką broń? O czym ty mówisz?

- Ja? - Bob uderzył się w pierś, aż zadudniło. - Jupiterze, czy ja coś mówiłem?

- Nic podobnego! - zakrztusił się Pierwszy Detektyw. - Nic nie mówiłeś. No, to do domu, chłopcze. Jak każe Wielki Pan Policjant.

Twarz Mata Wilsona przypominała wykrzywioną maskę karnawałową.

- Słuchajcie no, gnojki! Jeśli coś wiecie, to... - otarł czoło dłonią.

- Myyy? - zdumieli się przyjaciele. - My nigdy nic nie wiemy! Aha, gdyby pański przyjaciel, ten w beżowym garniturku, który wsiada z Lawsonem do radiowozu...

- Co z nim? - Mat zatrzymał się w pół kroku. Znał Trzech Detektywów nie od dziś. Już nie raz zależli mu za skórę.

- Gdyby przypadkiem powiedział, że ma amnezję...

- Co?

- Gdyby nadmienił, że stracił pamięć! - odpowiedział Bob.

- To co?

- Niech mu pan nie wierzy! - Jupiter wystawił głowę przez okno. - On jest potomkiem Jerzego Waszyngtona! Tak, tak, prezydenta Stanów Zjednoczonych, którego podobizna znajduje się na banknocie jednodolarowym. Jego ciotka ma pałac w Palermo, we Włoszech. A wuj jest w prostej linii prawnikiem słynnego gangstera Ala Capone. Tego, co siedział w Alcatraz za długi!

ROZDZIAŁ 6

SPRAWA SIĘ KOMPLIKUJE

- Nie wierzę! - Pete chwycił wiszącą na ścianie rękawicę bokserską. Miał ochotę zabić Mortimera. - To jakiś absurd! Widzieliście go?

- Jak ciebie teraz - Bob walnął się w piersi. Na szklach okularów miał mgłę. Wytarł je kosmatą szmatką do czyszczenia ekranu komputera.

- Chyba że ma brata bliźniaka.

- Jednojąowego - dorzucił Jupiter, połykając jak automat chipsy z papryką.

Zabrzączał telefon. Ten stacjonarny. Bob przez moment nie oddychał. Kiedy odłożył słuchawkę, roześmiał się głośno.

- Wiecie, kto dzwonił?

- Mortimer.

- Nie. Benjamin Roberts. Ryży dziennikarz z CBS-Radio.

- Czego chciał? - Jupiter Jones był jednym wielkim znakiem zapytania. - Nie wiedziałem, że nas zna.

- Chodzi sobie po zoo - stęknął Bob.

- A co? Nie ma dla niego wolnej klatki? - Pete kręcił głową.

Bob ciągle nie mógł dojść do siebie.

- Mówił, że śledził dwóch Włochów rozmawiających koło tygrysów bengalskich.

Jupiter Jones miał tego dość.

- Bob, natychmiast przestań bredzić. Powtórz to, co mówił ryży. Słowo po słowie. Już!

Bob otworzył, a potem zamknął usta. Naburmuszony wyglądał niczym Pinokio z coraz dłuższym nosem. Pete wreszcie odłożył rękawicę.

- Bob, Jupe ma rację. Nie myśl, że cię nie doceniamy. Ale czasem informacje trzeba z ciebie wyciągać obcęgami. No, przestań się marszczyć. Pozbieraj się, otrzep z kurzu i zacznij od nowa.

Bob skrzywił wargi.

- Mówił tak: "Czy to wy jesteście Trzema Detektywami, którzy wczoraj wkurzyli Mata Wilsona? Jeśli tak, to spotkajmy się koło żyraf. Śledzę dwóch facetów. Jednego znam. Za pół godziny, cześć!"

Jupiter zerknął na zegarek.

- Straciliśmy dziesięć minut. Bob, Pete, w drogę. Ryży najwyraźniej chce nas wykorzystać. Sądzi, bo pewnie Mat roztrąbił w komisariacie, że wiemy wszystko.

- Ale on też coś wie - Bob przestał się wściekać. Jego mózg znów pracował z precyzją szwajcarskiego zegarka.

- I o to chodzi - Pete mościł się na tylnym siedzeniu. - Bo to my od niego wyciągniemy, co się da. Dziennikarz bawi się w prywatne śledztwo, ponieważ ani policja, ani koroner nie puszczają pary z ust.

Ogród Zoologiczny w Rocky Beach różnił się od innych tym, że na pagórkowatym terenie mało było klatek, za to wiele ogromnych fos z wodą i zwierząt na wolności. W każdym razie żyrafy swobodnie skubały gałęzie drzew rosnących w pobliżu.

- To my - powiedział Jupiter, wypinając pierś obciążoną czystą koszulką z nadrukiem banknotu studolarowego.

Dziennikarz żuł gumę i od czasu do czasu błyskał fleszem aparatu fotograficznego.

- Wiem. Widziałem was na posterunku. I coś niecoś słyszałem. Znacie ich? - jego ruda głowa wykonała ruch w kierunku alejki obrośniętej niskopiennymi palmami. Ich pióropusze wyglądały jak postrzępiona ozdoba wodza Siuksów.

Bob, schowany za plecami Crenshawa, wycelował lornetkę w mężczyzn zajętych rozmową.

- Jeden to niejaki Roberto Montalban. Drugiego nie widziałem na oczy.

Jupiter odebrał mu lornetkę.

- Daj. Tak. Tego łysawego nie znamy. To ktoś ważny dla pana?

Dziennikarz wzruszył ramionami. Wypluł gumę tuż koło ogrodzenia.

- Nie kombinujcie. Wiem o was całkiem sporo. Wspowiadałem na tę okoliczność konstabla.

- George'a Lawsona? - roześmiał się Pete. - Gdyby głupota była wynagradzana, konstabl zostałby milionerem! Nic o nas nie wie. No nic!

- A pan? Też nic pan nie wie! - dodał Bob. - Dziennikarze z naszego miasteczka nie grzeszą spostrzegawczością. Wolą informacje prosto od krowy!

- Sprzedawałem telewizory, zanim w Ameryce pojawili się biali! - odciął się Benjamin. - Nie róbcie mi wody z mózgu. Ten łysy to Solo Catalucci. Agent biura podróży Palermo Travel. Tyle że ze starego kontynentu. Z Sycylii lub Malty.

Jupiter Jones zagwizdał.

- Coś te biura podróży zaczynają się mnożyć niczym króliki. No dobrze. Powiem panu. Drugi, Roberto, też ma powiązania z biurem podróży. Które też nazywa się Palermo Travel. Tyle że mieści się przy Alberto Road w Rocky Beach.

Benjamin Roberts znów strzelił migawką.

Jednak nie żyrafy były jego celem. Tylko dwaj mężczyźni nadchodzący alejką.

Bob znów schował się za plecami Pete'a.

- Może mnie poznać! - szepnął, gdy mężczyźni mijali żyrafiarnię, kierując się ku szympansom.

- To co, według was, da się ułożyć z tej gry komputerowej o włoskiej dzielnicy? - indagował dziennikarz.

Jupe wzruszył ramionami.

- Nie wiemy.

- To dlaczego obserwowaliście wczoraj stare nadbrzeże?

Bob miał dość ciekawskiego faceta.

- Lubimy oglądać zachód słońca. A pan? Co pan wie na temat śmierci wróżki?

Benjamin skrzywił się jak człowiek, który łyknął cytrynę, mając ochotę na syrop klonowy.

- Usiądźmy na ławce. Powiem, co wiem. A wiem tyle, co kot napłakał.

- Ale coś napłakał? - chciał wiedzieć Bob.

- Dorwałem się do materiałów z sekcji zwłok Clarissy Montez i protokołu przeszukania zrobionego przez ekipę śledczą senory Sanchez.

- To już coś! - ucieszył się Crenshaw.

- A wy, co macie na wymianę?

- Myszę.

- Dziennikarz szeroko otworzył oczy.

- Co, proszę?

- Mamy mysz. Raczej... mieliśmy.

- Uciekła? - dziennikarz czerwieniał na twarzy. Wydawało się, że za chwilę eksploduje.

- Niech się pan nie denerwuje! - uspokoił go Pete. - Nie kpimy sobie z pana. Jest facet, którego nazywamy pan mysz. I on może być jednym z kluczy. To co z tym protokołem?

Benjamin Roberts pogrzebał w podręcznej torbie. Wyjął mały magnetofon.

- Tu jest wszystko. Także rozmowa z wami. Co wiecie o panu myszku? Nie wykorzystam w radiu taśmy bez waszej zgody. Dobrze wiecie, że za to grozi dyskwalifikacja i utrata posady. A ja lubię węszyć. Podejrzewam, że chodzi o olbrzymi przemyt.

- No! - ucieszył się Bob. - Najnowocześniejsze żelastwo świata! Cześć!

Zostawili dziennikarza na ławce, nie widząc, jak bardzo jest zdziwiony ostatnim zdaniem.

- Żelastwo? - wyjąkał. - O czym oni mówią? Jakie żelastwo? Wiedzą więcej niż ja? Albo są... nie na tym tropie...

- Widziałeś takiego palanta? - denerwował się Crenshaw, robiąc serię pompek dla odreagowania stresu. - Słyszałem o was wszystko! - przedrzeźniał rudego dziennikarza. - Wiem nawet, ile macie plomb! I który z was sfastrygował Frankensteina!

Bob roześmiał się.

- Myślał, że mu więcej powiemy.

Wuj Tytus nadszedł w zupełnie nieodpowiedniej chwili.

- Jupiterze, jesteś mi potrzebny. Marcos zachorował, a Pedro sam nie zniesie mebli z ciężarówki.

- Ja też pomogę! - ucieszył się Crenshaw. - Bob zostaje. Pogrzebie w Internecie.

Andrews skinął głową.

- Zrobione. Jak wrócicie, będą nowe dane.

Ale zdarzenie, które nastąpiło, nie pozwoliło Trzem Detektywom skupić się na detalach. Lokalny kanał radia CBS nadał wstrząsającą wiadomość:

“Godzinę temu zwiedzająca Ogród Zoologiczny wycieczka ze szkoły w Rocky Beach natknęła

się na ciało znanego reportera naszej stacji, Benjamina Robertsa. Zmarły, prawdopodobnie na atak serca, miał przy sobie aparat fotograficzny. Dziwne, bo bez filmu. Śledztwo w sprawie nagłej śmierci prowadzi tutejszy posterunek policji. Sierżant Mat Wilson jest dobrej myśli...”

Jupiter Jones czuł, jak jego nogi kamienieją. O mało nie upuścił lustra i chippendalowskiej szafy bez nóg.

- Pete, słyszałeś?

- Tak, Jupe. I wcale mi się to nie podoba. On MIAŁ film w aparacie! Widziałem, jak się przesuwały klatki, gdy pstrykał zdjęcia. A co z magnetofonem?

- Ale... mówią o ataku serca?

- Wiesz, jak Bułgarzy robią taki atak serca swoim wrogom? Końcówką parasola! Stary szpiegowski numer!

- Pod warunkiem, że z parasola wydobywa się ostrze natarte jadem z kurary. Rzeczywiście nie zostawia śladów.

Bob wyskoczył z Kwatery Głównej, wrzeszcząc coś i machając rękami.

- Pewnie też usłyszał o śmierci dziennikarza - powiedział Pete, otrzepując ręce z kurzu.

Ale Bob nic nie wiedział o radiowym komunikacie.

Dzwonił Mat Wilson. Mamy być za trzy minuty w komisariacie!

Upłynęło pół godziny, zanim się naradzili nad tym, co mówić, a czego nie.

- Ja zaczynam! - Jupiter włączył pierwszy bieg. - Chcę, żeby nam przy okazji zdradził parę szczegółów.

Pozostali milczeli. Wciąż przeżuwali, na wszystkie sposoby, niespodziewany zgon Benjamina Robertsa.

Komenda policji wyglądała niczym obleżona twierdza pierwszych osadników przed spodziewanym atakiem Komanczów. Tylko zamiast dzid, pióropuszy i ognistych rumaków, dziedziniec blokowały różnorodne pojazdy dziennikarzy radia, telewizji i lokalnej stacji kablowej, nadającej na żywo swój codzienny serwis popołudniowy. Trzej Detektywi dostali się przed oblicze “szeryfa” tylko dlatego, że wyszedł po nich George Lawson.

- Coś wiesz? - Pete od czasu do czasu traktował konstabla jak kumpla z boiska.

- Cholera! - zaklął Lawson. - Wszystko się tego... chrzani! Ta śmierć nie ma za grosz sensu!

- A poprzednia miała? - wtrącił swoje trzy grosze Bob. - Myślę o wróżce Montez.

Mat Wilson siedział za pustym biurkiem, na którym podrygiwała tylko szklanka po mineralnej. A podskakiwała dlatego, że "szeryf" nie mógł lub nie chciał opanować drżenia kolan.

- Po co łąziliście do zoo? - huknął, gdy tylko detektywi stanęli w progu.

- Bo uwielbiamy szympanse - warknął Jupiter. - Przypominają nam niektórych...

- Milczeć! - Mat walnął pięścią.

Szklanka przewróciła się. Z jej wnętrza pociekło parę kropel.

- Co wam mówił Benjamin Roberts przed śmiercią?

Chłopcy milczeli, wpatrzeni w czubki własnych adidasów.

Cisza przedłużała się niebezpiecznie.

- Panie sierżancie... - wtrącił niespokojnie konstabl.

- Czego?

- Kazał im pan milczeć...

Mat zaczął niebezpiecznie czerwienieć. Gdyby eksplodował, mógłby wywołać skutek podobny do wybuchu koktajlu Mołotowa. A przed komendą było tylu ludzi...

- Odpowiem - powiedział spokojnie Jupiter, specjalnie rozwlekając słowa - ale pan przestanie na nas wrzeszczeć. Chyba że jesteśmy zatrzymani na czterdzieści osiem godzin. Wtedy trzeba by powiadomić naszych rodziców.

Mat uspokajał się. Wiedział, że przeholował. Ta trójka denerwowała go jak mało kto. Zawsze były z nimi kłopoty.

- Co wam powiedział Roberts?

- On nam nic nie powiedział - wtrącił Crenshaw - on NAS wypytywał.

- O co? - oczy Mata lśniły niczym dwie lufy wyczyszczonych na glanc pistoletów.

- O biuro turystyczne Palermo Travel - Jupe przełknął ślinę.

- Wybierał się w podróż? Sam nie mógł do nich pójść? Nie rób ze mnie idioty, Jones!

- On nie robi - zaczął Bob, ale umilkł pod wpływem iskier sypiących się z oczu sierżanta.

Jupiter wziął się w garść.

- Chętnie panu wyjaśnię parę spraw. Ale powtarzam: proszę nie mówić tym tonem. A ponadto ja też pana o coś zapytam, dobrze? - Mat nie miał wyjścia. Postawił szklanke, zmiotł rękawem rozlaną wodę. Skinął głową. Był wyraźnie wykończony. - Rzeczywiście, Benjamin Roberts zadzwonił do nas. Prosił, byśmy przyjechali do zoo przed pawilon żyraf. Ale miało to związek z akcją w starym porcie. Roberts o tym wiedział...

- Nie wiem od kogo! - Mat podparł głowę na dłoni.

- Nieważne. Interesował się też paroma sąsiadami Clarissy Montez. Chciał dopaść zabójców wróżki. Obserwował włoską dzielnicę... - Jupiter zawahał się. Nie chciał zdradzić zbyt wiele, ale jak inaczej wyciągnąć z sierżanta całą prawdę o Mortimerze? Bez tych informacji utkwia w martwym punkcie. Dosłownie w martwym.

- Pytam wyraźnie: o co chodziło Robertsowi? - Mat zapatrzył się w muchę łążącą po szybie.

- O takiego jednego faceta - wycedził Pete. I choć nie była to prawda, w jego głosie nie zadźwięczała żadna fałszywa nuta. - Był z wami. No, z policją. Na nadbrzeżu. Elegant w beżowym garniturku. Podobno nie wie, jak się nazywa!

Mat ze zdumieniem, pochylił się nad biurkiem.

- To pan Prosper Osborne. Adwokat z kancelarii Johnson and Urkel.

Trzej Detektywi spojrzeli po sobie. Jupiter dotknął czubka nosa. W ich "języku bez słów" gest ten oznaczał: nic nie mówić.

- Doprawdy? - Jupiter przełknął ślinę. - A kogóż to reprezentował szanowny adwokat? Tych biednych Meksykanów z motorówki?

Mat czochrał włosy. Niepotrzebnie wdał się w dyskusję.

- Ja tu zadaję pytania? Zgoda?

Skinęli głowami.

- Ale pan... jakże mu tam... Osborne jest przyjezdnym. Nie mieszka w Rocky Beach. Wiemy, bo nas odwiedził - zaryzykował Bob.

- Milczeć! - wrzasnął Wilson. Jego spokój znikł tak nagle, jak się pojawił. - Do diabła z Osborne'em! Tylko straciliśmy przez niego czas. W motorówce miał być przemycany towar z Antyli Holenderskich!

- Towar? - jęknął Pete, łapiąc się za głowę. - Jaki towar?

- Narkotyki. Heroina. Ale niczego nie było. Tylko paru brudnych Meksykanów.

Jupiter myślał z szybkością odrzutowca.

- A broń?

Mat zaciskał i rozluźniał pięści. Wyglądało to tak, jakby dusił kogoś niewidzialnego. Bo widzialny akurat się nie zmaterializował.

- Jaka broń? Do diabła! Już wczoraj o to pytaliście!

- Myśmy myśleli, że pan zastawił pułapkę na handlarzy - zaszemrał Bob. Był bliski omdlenia.

- Każdy myślał o czym innym - powiedział łagodnie Crenshaw. - Czy ten... Osborne sam do pana przyszedł z informacją o narkotykach?

Mat kręcił głową. Był kompletnie skołowany.

- Nie. Zatrzymaliśmy go po tym telefonie...

- Jakim?

- Ktoś zatelefonował na komendę, że w hotelu "Grazia Piena" we włoskiej dzielnicy mieszka pod osiemnastką facet, który wie o przemyśle heroiny - relacjonował drewnianym głosem George Lawson. - Sam przyjąłem meldunek. Na miejscu okazało się, że to adwokat o nazwisku Osborne. I że to on śledzi narkobiznes!

- A to ci... mysza! - sapnął Pete. - Wykołowała wszystkich!

Z przesłuchania nic nie wynikło. Chłopcy nie puścili pary z ust. Wiedzieli jedno: Mortimer nie zdradził. Ratował własną skórę, bo ktoś z hotelu naprowadził policję na fałszywy trop. Ale dlaczego? I kto?

W Kwaterze Głównej ekran komputera migał czerwoną kopertą.

- Pilny e-mail! - Jupiter wskazał palcem. - Mam nadzieję, że to nie kolejne wyznanie miłosne którejś z pańek Pete'a.

Poczta była jasna i krótka: "Policja nic nie wie. Będę występował jako Prosper Osborne. Zmieniam hotel, bo tu ziemia pali mi się pod nogami. Mam nadzieję, że na posterunku wszystko się wyjaśniło. Mortimer".

- Nawet zaakceptował Disneyowskie imię! - ucieszył się Bob. - Ciekawe, skąd nadaje.

Pete wzruszył ramionami.

- Teoretycznie z każdej kawiarni internetowej. Ale prawdę mówiąc, straciliśmy go z oczu. Ma nad nami przewagę.

- Aż mu się forsa wyczerpie! - warknął Jupiter. - I co my właściwie wiemy? Zjawia się facet. Mówi, że stracił pamięć. Mieszka w szemranym hotelu we włoskiej dzielnicy. Idziemy do wróżki, ale Clarissa Montez siedzi z dziurą w czole. Pod jej nogami znajduje się parę skrzynek broni... której nie ma. Pod podłogą jest tajny schowek, pusty jak moje szare komórki...

- Jest jeszcze para grubasów: Graziella i Vincenzo Pergola. I ich przyjaciółka Juanita, pracująca w biurze podróży Palermo Travel - dorzucił Pete.

- I niejaki Roberto Montalban, związany z tym biurem. Oraz, jak twierdził nasz przyjaciel-nieboszczyk, dziennikarz z CBS-Radio - Solo Catalucci. Z prawdziwego Palermo na Sycylii. Albo z wyspy Malta na Morzu Śródziemnym! - dokończył Bob z miną nieszczęśnika.

- Sądzę, że Włosi chcą wykończyć naszego pana myszka. Ale nie wiem, dlaczego! -jęknął Jupiter Jones kompletnie załamany.

Pete, ku zgrozie pozostałych, roześmiał się.

- Mówisz jak Snoopy z komiksu o "Fistaszkach": pobiłem wszystkich gangsterów. A nawet kota z sąsiedztwa!

ROZDZIAŁ 7

DLACZEGO JUANITA ODWIEDZA GROBOWIEC?

- Ludzie, rozdzielmy się! - zaproponował Pete, rzucając w kąt worek treningowy. - Przesiadywanie razem nic nie da. Nie można czekać w nieskończoność, aż szczęście się do nas uśmiechnie. Żaden anioł nie spłynie z nieba, by wyjaśnić, kim jest Mortimer. I dlaczego Włosi robią z niego handlarza narkotyków!

- Co proponujesz? - Jupiter od dawna był podobnego zdania.

- Bob będzie śledził Juanitę. Wiemy, gdzie ona pracuje, ale nie znamy miejsca zamieszkania, kontaktów. Dziewczyna siedzi w biurze podróży do osiemnastej. Bob zaczai się gdzieś w pobliżu godzinę wcześniej. Najlepiej na skwerze. Stamtąd jest dobry widok na Alberto Road.

- Mam ją śledzić? A jeśli będzie miała randkę?

- To także będziesz ją śledził. Bob, przestań wydziwiać. Nie po raz pierwszy masz łązić za podejrzanym.

- A wy?

Jupiter spojrział na Crenshawa.

- Dobrze by było, żebyś popilnował grubasów z "Grazia Piena". Może znów napatoczy się Roberto? Pójdiesz za nim.

Pete skinął głową.

- A ty, Jupe?

Jones uśmiechnął się pod nosem.

- Spróbuję poskrobać George'a Lawsona. Policja musi wiedzieć coś więcej o morderstwie wróżki. Tym bardziej że koroner Bullit także pracuje w pocie czółka. Vanessa dzwoniła?

- Do mnie nie! - zastrzegł Bob.

- Do mnie też nie - stwierdził Pete z lekką pretensją w głosie. - Choć obiecała.

O siedemnastej dziesięć Bob, zaopatrzony w silną lornetkę, zieloną kredę i swój gruby notes, lizał lody na skwerku, mając na widoku wejście do Palermo Travel. Wcześniej sprawdził przez kryształowo czystą szybę, czy dziewczyna siedzi przy swoim biurku. Siedziała. Oprócz niej były jeszcze dwie inne i ktoś w pokoju na zapleczu. Punktualnie o szóstej dziewczyny opuściły biuro, wołając na pożegnanie: cześć, Solo!

Bob natychmiast uruchomił telefon komórkowy. W Kwaterze głównej odebrał Jupe.

- Tu Bob. Idę za dziewczyną. Ale w Palermo Travel został Solo Catalucci.

- Dzięki, Bob. Zmienię plan. Wsiądę w samochód i będę śledził Włocha.

Juanita szła równym krokiem. Na skrzyżowaniu pożegnała się z koleżankami. Skrzyżowała w lewo i o mały włos nie zniknęła Bobowi z oczu. W ostatniej chwili detektyw dostrzegł wąski pasaż prowadzący wprost do starego portu, skąd odpływały promy na Windy Island. Bob ucieszył się, że ma w kieszeni parę dolarów. Zorientował się, że dziewczyna chce wsiąść na prom.

- Mieszka na wyspie? - mrucał sam do siebie, kreśląc na murze znak zieloną kredą. Był to ich stary, dobrze sprawdzony sposób. Gdy któryś zniknął z pola widzenia reszty, śledząc nieznaną osobę, zawsze zostawiał na murze umówiony ślad. Kolor Boba był zielony. Koniczynka ze strzałką określała kierunek, w którym się udawał. Ot, takie skautowskie przyzwyczajenie. Nieraz sprawdzone w niebezpieczeństwie.

Dziewczyna stanęła przy barierce, wpatrzona w szare fale łagodnego Pacyfiku. Jej długie, czarne włosy powiewały na wietrze. Bob naciągnął na czoło bejsbolową czapkę. Miał nadzieję, że go nie rozpozna. Wtedy, w biurze, gdy zamawiał wycieczkę do Europy, był inaczej ubrany. Dziś miał bluzę z kapturem i spodnie od dresu. Okulary też zmienił.

Prom zahaczał, ruszając w niedaleki rejs. Wyspa, choć mgielka nieco przesłaniała horyzont, widoczna była jak na dłoni. Jej poszarpane brzegi i lesiste pagórki wyłaniały się z oceanu niczym grzbiet wieloryba.

- Co tam jest? Jej dom rodzinny? - mrucał do siebie Andrews.

Czterdzieści minut później prom "Alabama" dotknął kei. Po trapie zeszło kilkanaście osób. I zjechały trzy wozy. Bob wcześniej zaznajomił się z rozkładem jazdy. Ostatni prom odpływał o dwudziestą drugą. Miał czas. Dużo czasu.

Juanita przyspieszyła kroku. Za budynkami portowymi stał w zatoczce zdezelowany autobus z wybitą szybą. Część przyjezdnych weszła do środka. Dziewczyna też. Bob wskoczył w ostatniej chwili. Jego ciekawość sięgała szczytu. Ale miejsca, w którym wszyscy opuścili pojazd, naprawdę się nie spodziewał. Wysoki, szary mur z odpadającymi płatami tynku skrywał nie co innego, tylko... cmentarz!

Kiedy wysiedli przed bramą i wykutą w granicie starą sentencją "Lasciate ogni speranza", chłopiec kompletnie zgłupiał.

- Idzie na cmentarz? - wystukał, przyspieszając.

Juanita weszła przez bramę, kierując się w lewo. Widać było, że zna teren. Cmentarz był bardzo stary. Data 1882 nieco rozjaśniła Bobowi sytuację.

- Muszę sprawdzić w miejskiej bibliotece. W dziale historycznym - mamrotał. Czasem lubił mówić do siebie. To mu dodawało odwagi. - Tutaj są potężne grobowce! Na naszym miejskim cmentarzu w Rocky Beach nikt już takich nie buduje. Chyba nawet nie wolno! Leżą tylko płaskie płyty rozrzucone malowniczo wśród zadbanych trawników. Nie sadi się ani drzew, ani krzewów. Doprawdy, czasem wygląda to jak boisko do gry w golfa. Co innego tutaj! Alejki, drzewa cedrowe, wysokie trawy nigdy nie strzyżone, figury aniołów o utraconych, kamiennych skrzydłach i grobowce niczym pałace bogatego szejka! - Bob tak był zafascynowany miejscem, w którym się znalazł, że przez moment stracił Juanitę z oczu. - Gdzie ona jest? Tam, obok rzeźby kobiety bez twarzy. Tej której czas wyjadł oczy i usta.

Juanita skręciła w alejkę, jeszcze trzy lub cztery kamienne krzyże upamiętniające rozbitków "Santa Maria dei Graziae", która zatoneła u wybrzeży wyspy w roku pańskim 1890. I cisza. Nikogo.

Bob kręcił się niczym blaszany bąk-zabawka. Wokół szumiały stare klony o czerwonych liściach, pachniały nieznanne zioła, z trawy poderwały się dwa motyle. Juanity nie było. Umilkł stukot jej wąskich obcasików o betonowe płyty. Cisza jak na cmentarzu.

Bob czuł, że się poci. Obiegł kwartał w kółko, potknął się o jakiś głaz czy odłupany kawał granitu, rozciągnął się jak długi i zastygł w bezruchu. Zza ściany sąsiedniego grobowca dolatywały stłumione głosy. Podniósł się ostrożnie, otrzepał z kurzu i przyłożył ucho. Wyraźnie dudniło. Z wnętrza budowli przypominającej średniowieczny zamek w Szkocji, choć o znacznie zmniejszonych gabarytach, dobiegały pojedyncze słowa. Głuchy pogłos nie pozwalał niczego zrozumieć. Na dodatek wmieszał się jeszcze szum czegoś, jakby gigantycznego wentylatora nastawionego na maksymalne obroty.

- Co to? - zezłościł się, wymiatając resztki trawy z uszu. Gadający grobowiec? Film z czasów, gdy powstawały pierwsze horrory w rodzaju doktora Mabuse? - Opanował się i przykucnął, przykładając ucho do szpary. - Gadają? Czy to nieboszczycy? - poczuł podmuch zimna. Z grobowca wiało. Nie tylko grozą. Wstał i cichutko, na czworakach, obszedł budowlę ze wszystkich stron. Od frontu, na czarnej wypolerowanej płycie widniał złoty, zatarty napis: grobowiec rodziny Whitehouse'ów. I data: 1902 rok. Żelazna krata przylegała ciasno. Nie dała się odsunąć. Ale, co zauważył, gdy tylko dłonią dotknął prętów - głosy umilkły. Ucichł także wentylator. Wokół zapanowała doprawdy grobowa cisza. Jeśli nie liczyć cichych kroków w alejce. Bob błyskawicznie odskoczył w gęste krzaki. Poczul zapach gorzkich ziół łaskoczących mu usta i kark. Zatkanął palcami nos, żeby nie kichnąć. Bał się wysunąć głowę. Drżącymi palcami ustawiał ostrość w lornetce. Kroki zbliżały się. Zza gipsowej figury ze złotą niegdyś lirą, z której zostały tylko dwie nogi i fałda szaty, wyszedł młody, wybrylantowany mężczyzna podobny do Ala Capone'a z czasów prohibicji.

- Roberto Montalban! -zaszemrał Bob, czując ciarki przebiegające mu po grzbiecie. - Co on tu robi? Czyżby szykował się czyjś pogrzeb? Najpierw Juanita, a teraz Roberto?

Mężczyzna wyjął przedmiot przypominający telefon komórkowy. Wcisnął kilka guzików, odczekał i powiedział w pustą przestrzeń.

- Montalban.

Zgrzytnęła krata. A raczej, mówiąc dokładniej, zaszemrała. Przesunęła się o dwa metry, odsłaniając wejście.

- Hasło? - zabrzmiał głuchy głos niczym ze środka trumny.

- Baretta.

Krata, tym razem bezszelestnie, zajęła pierwotne miejsce. Jakby nikt nie wszedł do tajemniczej szkockiej warowni, gdzie składowano znaczne zwłoki ludzi z rodu Whitehouse'ów. Od stu lat!

Bob wyjął z kieszonki zieloną kredę i wyrysował wyraźną koniczynkę oraz znak +. Plus oznaczał obiekt końcowy. Ten poszukiwany. I znaleziony. Gdy się podnosił, poczuł na plecach złowróźbne dotknięcie. Takie, jakie czują ofiary, gdy im się przytknie lufę pistoletu. To BYŁ pistolet. Padając, poczuł silną woń macierzanki i piołunu.

Crenshaw tkwił już od godziny przed hotelem "Grazia Piena". Signora Pergola wystawiała twarz i grube, opuchnięte stopy na ostatnie promienie październikowego słońca. Jej małe, wyplatane krzeselko skrzypiało przy każdym ruchu. Ulicą z rzadka przejeżdżały samochody, pędzili mali chłopcy na rolkach, a dwie dziewczyny o pięknych oczach tęsknie oglądały się za młodzieńcami. Było pustawo, nudno i potwornie duszno. Pete wściekał się w duchu na zadanie, które sam sobie wymyślił.

- Niech się coś dzieje! - szeptał, drepcząc tam i z powrotem po skwerku. - Zwariuję tu!

Autobus o brudnych, zabazgranych oknach zatrzymał się na wprost hotelu. Siedzący za kierownicą człowiek wrzasnął w kierunku pani Grazielli.

- Presto! Pardone!

Pete przystanął. Nie zrozumiał okrzyków, ale coś w wyglądzie autobusu go uderzyło. Te okna z zamalowanymi szybami. Niby nic. Zwykłe graffiti z biednej dzielnicy, reklama mydła w płynie i naga, biała dziewczyna pod palmą. Rysunki dość paskudne, w niewybrednym kolorze. I nikt nie wysiadał.

Crenshaw postanowił przyjrzeć się zjawisku z bliska. Zdażył akurat, gdy z holu hotelowego wyrzwał signor Vincenzo Pergola. Grubas skinął kierowcy. A potem zaczął się ruch. Otwarto jedno wyjście, ale Pete'owi nikogo nie udało się dostrzec. Obsługa z hotelu rozpostarła w poprzek chodnika coś na kształt parawanów. Co wynoszono lub kto wysiadał, pozostało tajemnicą. Ludzie uwijali się, stary milcząco oblizywał wargi, a pani Graziella nerwowo biegała z prawa na lewo. I z powrotem. Pete żałował, że oddał lornetkę Bobowi. Nie pozostało mu nic innego, jak przejść na drugą stronę ulicy i na własne oczy sprawdzić, co się dzieje. Już stawiał stopę na jezdni, gdy coś go powstrzymało. Zza węgła wyszedł... Mortimer. We własnej eleganckiej osobie. Przystanął na chodniku, tuż za tylnym kołem autobusu, i bezgłośnie poruszał ustami, jakby coś liczył.

- O, do diabła! - zaklął Pete, kryjąc się za pnem akacji. - Przyszedł tu, by śledzić poczynania

rodziny Pergola, czy też... by coś sobie przypomnieć?

Mortimer potarł czoło, robiąc w tył zwrot. I wtedy przy krawężniku zatrzymał się samochód. Wyskoczyło z niego dwóch mężczyzn i siłą wciągnęło go do środka. Zanim Pete przeskoczył jezdnię, zielone auto odjechało.

Trzy, dwa, litera "T" i "A" - notował Pete na świstku wyjętym z kieszeni. Bob musi sprawdzić w rejestrze wozów. Po raz pierwszy pożałował, że nie ma telefonu komórkowego. Piekielna elektronika! Zawsze jej nienawidził! Tych wszystkich komputerów, dysków, portali i Internetu! Ale brak telefonu... Spojrzał w prawo. Nic. W lewo. Też nic. Żadnej budki, żadnego publicznego aparatu. Z hotelu? - pomyślał. - Nie! Rozpoznają go! Jeszcze raz zerknął na stojący autobus, który właśnie ruszał. Zjeżdżał w dół, mijając czerwone bugatti z lat trzydziestych. Pete zapatrzył się na sportową sylwetkę wozu. Jeden z tych egzemplarzy, który powinien stać w muzeum, a nie jeździć po wybojach nędznej dzielnicy. Nawet nie zauważył, że za czerwonym czai się... stary ford Jupitera.

- Pete!

Crenshaw obudził się. Dopadł otwartych drzwiczek.

- Jupe? Co tu robisz?

- Tropię. Łysego w czerwonym bugatti. Dał mi nieźle popalić! Mój staruszek nie ma tylu koni mechanicznych. Bob zadzwonił do Kwatery Głównej, że w Palermo Travel został Solo Catalucci. Postanowiłem śledzić faceta. Ale przyjechał do naszego hotelu.

- Tu się coś działo - Pete w skrócie zrelacjonował historię dziwnego autokaru i zachowanie ludzi. - Wyglądali, jakby coś wynosili w ukryciu.

- Przemyt broni? - zastanowił się Jupiter. - Bez sensu. Robiliby to raczej nocą...

- Nocą policja jest bardziej wyczulona. Jedźmy stąd, Jupe. Zapomniałem ci powiedzieć, że porwano pana myszka! Widziałem to na własne oczy!

Jupiter pokręcił głową.

- Mam dwie teorie: myszek zadarł z Włochami z hotelu albo z mordercą Clarissy Montez. I dziennikarza. Albo ze wszystkimi naraz. Tylko nic o tym nie wie, ponieważ stracił pamięć!

W Kwaterze Głównej nie zastali Boba.

- Gdzie on się włóczy? - zdziwił się Pete. - Tyle rzeczy trzeba sprawdzić w komputerze. Choćby numer zielonego samochodu! Ja nie potrafię się włamać do systemu służb miejskich. A ty?

Jupiter ogryzał kurze udko.

- Zwariowałaś? Tylko Andrews to umie. Ale spójrz! Znów poczta do ciebie. Sprawdzę.

Zbliżył twarz do ekranu i zgłupiał. Pete też oddychał przez nos, jakby nagle złapał katar stulecia.

- Widzisz to samo, co ja?

Pete z rozmachem usiadł na podłodze. Nie wierzył własnym oczom.

“Mamy waszego człowieka, jeśli nie przestaniecie wścibiać nosa w nie swoje sprawy, zginie!”

Jupiter nerwowo oblizywał wargi. Udko wypadło mu z ręki i spadło pod krzesło. Nawet się nie schylił.

- Mają Boba. Kto?

- Ci z hotelu. Na pewno nie Mortimer, bo jego też porwano.

Jupiter Jones próbował odzyskać zimną krew. Teraz to już mu wleźli na najczulszy odcisk. A Pierwszy Detektyw nie da sobie dmuchać w kaszę. Nigdy! Złość sprawiła, że pięści same się zacisnęły.

- Chcecie wojny? - wrzasnął strasznym głosem. - To ją będziecie mieli!

Pete zerwał się na równe nogi.

- Jupe, ja z tobą! Jeśli coś się stanie Bobowi, rozwalę całą włoską mafię! A dzielnicę zrównam z ziemią i przekopię! Jak mi Bóg miły!

Ale Bóg nie zawsze miesza się do ziemskich spraw, toteż po długiej naradzie postanowili zawiadomić Mata Wilsona.

Niestety. Posterunek był pusty. W gabinecie “szeryfa” stała szklanka po piwie i dwie popielniczki pełne petów. W pokoju Lawsona spał kundel zwany przez policjantów Kapralem. Rozszczękał się na widok chłopców.

- Do diabła! Jak potrzeba, to ich nie ma! - syknął Jupiter, z hukiem zatrzaskując drzwi. Stał w korytarzu pomalowanym olejną farbą w kolorze duszonej wołowiny i gorączkowo myślał.

- To oni! - Pete szarpnął przyjaciela za rękę. - Nie pokazujmy się!

- Kto? - zaszemrał teatralnym szeptem Jupe.

- Ludzie z zielonego chevroleta. Stoi na parkingu policyjnym. Te same numery: 3, 2, T, A, Calif. Oni porwali myszka!

Dwaj mężczyźni najwyraźniej szukali przedstawiciela prawa. Jeden z nich był łysiejącym czterdziestolatkiem z brodawką koło nosa, drugiemu zaś, o posturze napastnika wagi ciężkiej, pod lewą pachą odstawała marynarka.

- Trzyma tam gnata! - zaszeptał Pete. - Albo gliniarze, albo gangsterzy. Skoro porwali Mortimera, to raczej...

Mężczyźni zaglądali do kolejnych pomieszczeń. Na szczęście ominęli wejście do męskiej toalety. Wtedy na pewno natknęliby się na detektywów.

- Nino - powiedział bokser głosem z dna beczki - wrócisz tu sam. I zrobisz to, co należy.

Łysiejący skinął głową. Obaj, tupiąc, wycofali się na parking. Po chwili słychać było chrzęst żwiru strzelającego spod kół zielonego wozu.

- Nino - zamruczał Jupe. - Jeszcze jeden makaroniarz. Czy w tym mieście mieszkają sami Włosi?

Bob ocknął się, czując dziwny zapach dochodzący z głębi pomieszczenia. Najpierw sprawdził, czy żyje. Potem obmacał głowę, ręce i nogi. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Dodatkowo okazał się tylko guz. Bolał i powodował szum w lewym uchu. Oczy chłopca długo przystosowywały się do ciemności. W końcu zaczął odróżniać dwie szpary i większy jaśniejszy przesmyk pomiędzy cegłami. Nie wiedział, gdzie jest. To coś, co wierciło w nosie zapachem zbutwiałych liści, płynęło z jasności, którą z trudem można było uznać za promyk światła. Usiadł, dziwiąc się, że nikt go nie związał. Ani nie założył kajdanków. Nie był też przykuty łańcuchem do ściany, co oglądał nie tak dawno na jednym z kanałów telewizji specjalizującej się w krwawych horrorach.

- Dobrze, że to dla mnie nie pierwszozna! - pomyślał głośno. I zaraz zakrył usta dłonią. Nie wiedział, czy ktoś go nie podsłuchuje. Dotknął dłonią ściany, przy której leżał. Była sucha i szorstka. - A zatem nie jestem na dnie studni - teraz myślał po cichu. - Czyżby to był grobowiec? - Przypomniał sobie wędrówkę za Juanitą. I lufę pistoletu dotykającą pleców. - Gadający grobowiec. - Podpełzł na kolanach w stronę szczeliny. Zdziwił się, że jego mały plecaczek z wyposażeniem nie został mu odebrany. Wisiał wciąż na lewym ramieniu.

- Tak szybko mnie wrzucono, że nikt z moich oprawców nie sprawdził, co mam? A przecież nigdy nie ruszam się bez latarki! - Snop światła omiółł sufit wykonany ze szerniałych, drewnianych belek poprzerastanych korzeniami traw, betonową podłogę i ścianę z pogruchotanych desek. - Przywlekli mnie tędy? - pomyślał zdziwiony. - Może da się wyjść?

Ale to, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Trzy rozbite sarkofagi nosiły ślady przemocy. Wokół walały się ludzkie czaszki i kości. - Złodzieje? - wstrząsnął się na widok wyszczerzonych zębów. Z otwartych trumien zwisały resztki zbutwiałych tkanin. Jedna z nich przypominała weselny welon panny młodej.

- Gdzie ja jestem? - przeraził się nie na żarty. - Czy kiedykolwiek stąd wyjdę? Może zamienię się w taki sam szkielet jak ten, co tarasuje przejście? - Bob cofnął się, gasząc latarkę. Nie był pewien, na jak długo starczy mu baterii.

Postanowił uspokoić się, pomyśleć i znaleźć wyjście z niecodziennej sytuacji. Pomimo silnego

zapachu butwiejących szczątków w grobowcu nie brakowało tlenu. To znaczy, że skądś dociera powietrze. Znów błysnął latarką. Ogarnął światłem wszystkie kąty. Tak, to co wziął za rozbite garnki, było w rzeczywistości pozostałością po oliwnych kagankach. Wewnątrz wciąż tkwiły knoty.

- To mi pozwoli zaoszczędzić latarkę. Trudno, muszę się przemóc, by przejść pomiędzy nieboszczykami! - przypomniał sobie, jak przed laty straszył Vanesę plastikowym szkieletem. I jak zaśmiewał się z przerażenia dziewczyny. A robił to, by... się przypodobać. By piękna koleżanka ze szkolnej ławy choć raz zwróciła na niego uwagę! By przestała śledzić cielecym spojrzeniem każdy krok Pete'a Crenshawa! Ludzie, kiedy to było?

Nagle zamarł. Zgasił latarkę, zatrzymując się w pół kroku. Z daleka usłyszał czyjeś głosy. Słów nie rozróżniał. Potem wszystko zagłuszył szum wentylatora.

- To dlatego powietrze dochodzi aż tutaj! - wyszeptał.

I natychmiast przestał się bać. Skoro w pobliżu są żywi ludzie... ci, którzy nie zdążyli w proch się obrócić, nic złego mu nie zrobią. Znów błysnął latarką. Kaganek nie był na oliwę, tylko na jakiś inny tłuszcz. Zapaliki Bob miał w bocznej kieszonce. Płomyk zatrzymał się nad skrzyconym z nitek knotem. Pełgające światło wydało się w tym wnętrzu czymś zupełnie naturalnym. Nawet trumny, zakurzone i zrzucone jedno na drugie, nie robiły tak makabrycznego wrażenia jak pięć minut wcześniej. Na zegarku była godzina dwudziesta druga. Datownik wskazywał szesnasty października dwutysięcznego roku. A zatem jestem tu od czterech godzin! - pomyślał, przeskakując rozdziawioną w upiornym uśmiechu, zbrązowiałą czaszkę. - Jeśli to grobowiec rodzinny Whitehouse'ów, to leżycie tu, biedacy, prawie od stu lat!

Deska oddzielająca trumny od następnej niszy skrzypnęła. Wionęło świeższe powietrze. Bob osłonił dłonią delikatny płomyk. Zatrzymał się, sięgając do kieszeni. No tak! Zabrali telefon komórkowy!

Nisza wydłużała się w nieskończoność. Dwa razy potykał się o resztki zakurzonych trumien. Nie wszystkie otwarto. Część dębowych, zdobnych w srebrne okucia zachowała się w doskonałym stanie. Nazwiska nieboszczyków powtarzały się: Stanley Whitehouse, Margaret Whitehouse-Brown, Laura Thompson-Whitehouse. Bob znów usłyszał głosy. Dobiegały z lewej strony. Zbliżył się do ściany. Dotknął dłonią gładkiej, zimnej płyty bez żadnej rysy czy zadrapania.

- Nie, tędy nie ma wyjścia! - mruknął. - Trzeba wspiąć się wyżej. Po sarkofagach. A jak się to wszystko zawali? Jak spadnę na stos kości Whitehouse'ów? Pogrzebią mnie żywcem za zakłócenie wiecznego spoczynku! - detektyw zmarszczył brwi. Przeczyszczone okulary nieco poprawiły widoczność. - Trudno! Muszą zrozumieć, że nie znalazłem się wśród nich z własnej woli. Nie zamierzam ograbić żadnego z nich z biżuterii ani innych precjozów, o ile je mają! Chcę tylko wyjść. - Bob ostrożnie stawiał stopy. Podciągnął się, opierając pięty o srebrną ozdobę trumny. Już miał zrobić następny ruch, gdy nagle zobaczył coś, co go zaskoczyło. Wśród ornamentów wyraźnie odróżniał się wieniec z liści akantu z literami: PO. - Osborne? - zdumiał się. Zamiast włączyć wyżej, wyjął swój gruby notes. Przy pełgającym płomyczku odczytał pogiętą tablicę grobową: Claudia Tarvi, żona Prospera Osborne'a. Zmarła 31 grudnia 1931 roku.

- Tarvi to włoskie nazwisko! - uśmiechnął się, wpisując je do notesu. - I nowy ślad! Osborne'owie. Ich medalion wygląda tak samo. Głowę dam, że leżąca tutaj Claudia też go ma na szyi! Tfu! Co ja bredzę. Wcale nie chcę oglądać jej szyi! - Bob z wysiłkiem, sapiąc i kaszląc, bo kaganek smrodził niczym stara, zdezelowana rura wydechowa, wdrapał się na samą górę.

Siedząc na pokrytej brudem trumnie kolejnego potomka szlchetnego rodu, zdał sobie sprawę, że ma szansę. Nad głową wisiała spróchniała deska. Za nią druga. A z samej góry przedzierał się, nikły bo nikły, ale jednak poszum wiatru.

- Pęknieś, Pete Crenshaw, jak ci opowiem o swoich wyczynach gimnastycznych! - zaśmiał się cichutko. I znów umilkł.

Głos, dochodzący z lewej tym razem, był wyraźny. I doskonale znany!

- Jedziemy! - postanowił Jupiter Jones, gdy po raz drugi na ekranie komputera ukazał się e-mail: "Chłopak zginie, jeśli nie odpowiecie do północy!".

Pete Crenshaw zgrzytnął zębami.

- Znajdziemy Boba, choćbyśmy mieli poszarpać na strzępy nasze szare komórki! Miał śledzić Juanitę, tak?

- Tak. Jedziemy do biura turystycznego. Bob wszędzie pozostawił znaki. Zawsze tak robimy.

I rzeczywiście. Pierwszą koniczynkę z zieloną strzałką dojrzeli w bocznej uliczce. Dalsze odkrywali z trudem, ale nie bez powodzenia.

Tuż przed pasażem prowadzącym do starego portu Jupiter Jones zatrzymał się.

- Popłynęła na wyspę? Na Windy Island?

- Na to wygląda - mruknął Crenshaw, myszkując wzdłuż ścian.

- Tam jest znak!

Prom właśnie hamował na przystani. Ze statku schodziło niewiele ludzi. Wśród nich wypomadowany Al Capone. Z dołeczkami w policzkach.

- Widzisz go? - szepnął Pete, przyciskając Jupitera do ściany. - Roberto Montalban. Teraz wiemy na pewno, że Bob i Juanita są na wyspie. Masz forszę na bilet?

Jupiter Jones wywrócił kieszenie.

- Same drobne. Może starczy?

Starczyło. Na jeden. Crenshaw rozejrzał się uważnie.

- Ty wsiadasz.

Jupiter zatrzepotał dłońmi.

- A ty?

Pete żuł jakieś źdźbło.

- Ja? Wejdę bez biletu. Razem z tą grupą panienek!

Pierwszy Detektyw z podziwem i zazdrością przyglądał się jak jego przyjaciel wkręca się, błaznując, w wesołe zbiorowisko młodych i ładnych dziewcząt wymachujących miesięcznymi biletami. Pete tak czarował i wygłupiał się na trapie, że skołowany marynarz nie ośmielił się go zatrzymać.

- Baran! - mruknął Jupiter, wbiegając po trapie. - Kompletny kretyn!

Tuż po wylądowaniu odkryli następny znak. Strzałka wskazywała zwirową zatoczkę przy kamienistej drodze.

- Wsiadł w coś?

- Tak myślę. - Pete pochylił się, rozgarniając palcami żwir. - Smar lub paliwo. Odjechał samochodem.

- Nie - pokręcił głową Jupiter Jones.

- Poszedł piechotą? - Pete szukał śladów zielonej kredy.

- Nie.

Crenshaw zdenerwował się nie na żarty.

- Umiesz tylko mówić “nie”?

- Tak.

Na Pierwszego Detektywa nie było mocnych. Kiedy jego szare komórki pracowały, uszy odbierały tylko poszczególne dźwięki. Myśli kłębiące się pod czaszką układały się w logiczny ciąg. Ssał wargę, a minę miał głęboko nieszczęśliwą.

- Jak sobie chcesz - Pete przysiadł na murku. Zza zakrętu wyłonił się jakiś pojazd w obłokach kurzu.

Jupiter Jones uśmiechnął się.

- Pojechał autobusem.

- Wydedukowałeś?

- Tak. Skoro śledził Juanitę, nie mógł z nią wsiąść do prywatnego auta. Zrobił to wtedy, gdy pojazd okazał się publiczny. Właśnie autobus. Jak ten, który nadjeżdża.

- Z napisem: "Stary cmentarz"? - zaniepokoił się Pete.

- Tak sądzę. Ale nie mamy na bilet.

To załatwiało sprawę. Byliby zostali na murku, gdyby nie kierowca. Wychylił z szoferki siwą głowę murzyńskiej niańki.

- Chcecie się dostać na cmentarz?

Jupiter Jones bez słów wywrócił kieszenie, pokazując ich totalną pustkę. Stary roześmiał się, gestem zapraszając do wnętrza. Oprócz pary nastolatków byli jedynymi pasażerami gruchota.

Pete postanowił się doksztąpić. Usiadł obok kierowcy, nie bacząc, że prąd powietrza wpada mu do ucha. Szyb nie było także z boku.

- Może nam pan opowiedzieć o starym cmentarzu? Kiedy go zbudowano?

Murzyn wyraźnie się rozpromienił.

- Mój prapradziadek tam leży. Był niewolnikiem na Południu. Uciekł z plantacji bawełny i choć do niego strzelano, przeprawił się przez góry. Później prezydent Abraham Lincoln zniósł niewolnictwo. Ale i tak było ciężko. Dziadek stawiał mur cmentarny.

- Jako murarz?

- Tak. Irlandczycy, znaczy pierwsi, którzy tu założyli cmentarz, chcieli, żeby było tak jak w Europie.

- To znaczy?

- Grobowce. I rzeźby z kamienia. Aniołowie, amfory...

- Co takiego? - Pete nie zrozumiał.

Czarna twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

- Wazy. Na wzór starożytnych. Tych z Europy. Trzymali w nich kwiaty. W Halloween przychodzili tu ludzie...

- Z dyniami i świeczkami?

- Dawniej nie znano jeszcze wydrążonych dyń. Ludzie przychodzili z jedzeniem i piciem. Z

czasem zaczęto budować na cmentarzu grobowce-palace. Szczególnie gdy umierał bogaty członek społeczności. Moja matka opowiadała mi o skarbie...

Jupiter Jones, który dotąd przysłuchiwał się z drugiego rzędu siedzeń, nagle drgnął.

- O skarbie? Na cmentarzu zakopano skarb?

Murzyn błysnął białkami.

- Tak mówią starzy ludzie z wyspy. Podobno szukano tego skarbu w starych grobowcach. Przerzucano trumny, wyrzucano truchła...

Pete czuł, jak mu włosy stają dęba.

- Znaleźli coś?

Kierowca zatrąbił na wałęsającego się psa. Cieszył się, że udało mu się nastraszyć chłopców.

- Nic nie znaleźli. Ale moja siostra do dziś nie chce wejść na ten cmentarz.

- Dlaczego? Boi się duchów?

Białka znów błysnęły w czarnej twarzy.

- Tam jest... gadający grobowiec! - zniżył głos. - Ludzie się go boją. Nocami po cmentarzu wałęsają się ciemne postaci z latarkami.

Jupiter Jones roześmiał się, ubawiony.

- Duchy? One przecież są... astralne! No... nie mogą niczego trzymać w palcach... Bo te palce są cieniem. Powietrzem!

Autobus zatrzymał się przy kamiennej bramie.

- Wiecie, co tu napisane? - Wskazał kute w granicie litery. - To w europejskim języku znaczy: "Porzućcie wszelką nadzieję"!

- Lasciate ogni speranza - wydukał Pete.

Murzyn otworzył drzwi.

- Tak napisał jakiś poeta. Ze starego kontynentu. No, wysiadajcie! Koniec podróży!

Pete zatrzymał się u wejścia. Cały cmentarz, porośnięty starymi drzewami, wydawał się miejscem magicznym.

- Tam gdzieś jest Bob.

- Był. - Jupiter wskazał maźnięcie zielonej kredy. - Spieszył się, idąc za Juanitą. Dlatego nie narysował koniczynki. Jesteśmy na miejscu, Pete. W domu.

Nazwanie "domem" miejsca duchów, strachów i nocnych zjaw ze światełkami nie nastrajało zbyt optymistycznie.

-Włazimy. I trzymamy się razem - powiedział Crenshaw, sprawdzając plecak. - Masz swoją latarkę?

- Mam. Skoro Bob nie wyszedł z cmentarza, musi tam jeszcze gdzieś być. Albo leży w krzakach, obserwując Juanitę, albo...

- Wpadł do grobu! - stęknął Crenshaw. Nie czuł się pewnie. Zawsze wolał otwarte, pełne ludzi przestrzenie. Mogły to być boiska piłkarskie, w ostateczności bokserski ring. Ale wszędzie tam było wesoło, jasno i gwarnie. Tu zalegała kompletna cisza. A zmurszałe twarze kamiennych rzeźb nie dodawały animuszu. - Umawiałeś się kiedyś z dziewczynami o północy na cmentarzu? - zażartował, żeby zmienić nastrój.

Jupiter nie odpowiedział. Śledził krótkie maźnięcia zieloną kredą. Pod potężnym klonem szeleszczącym jesiennymi liśćmi zgubili ślad.

- Może poszedł inną alejką?

- Padnij! - Pete pociągnął Jonesa w krzaki. - Na ziemię!

- Co jest?

- Człowiek. Może wróg, a może przyjaciel. Nie wiem. - Cichutko zagwizdał znaną im z dzieciństwa melodyjkę. - To nie Bob. On by się odezwał.

Leżeli ze dwie minuty, zanim odważyli się wystawić głowy z kłujących suchych badyli. Mężczyzna, bo sądząc po krokach, to był mężczyzna, przeszedł o włos od nich. Ale ich nie zauważył.

- Odwiedzał przodków Irlandczyków? - zaszemrał Jupiter.

- Może. Ale po co repetował broń? Wyraźnie słyszałem, jak zabezpieczał pistolet. To charakterystyczny dźwięk. Znam go ze strzelnicy. Nie, bracie, to nie był potomek Irlandczyka!

- Co robimy? - Jupiter nie chciał tracić czasu. Zmierzch zbliżał się wielkimi krokami. Trzeba było znaleźć Boba, zanim zapadną zupełne ciemności. - Noc na cmentarzu niezbyt mi odpowiada.

- Szczególnie na takim. Spójrz na ten zamek w drugiej alei. Można w nim pochować pluton piechoty morskiej!

Jupiter zmarszczył brwi.

- Pamiętasz, co mówił kierowca autobusu?

- Dużo różnych historyjek.

- Myślę o gadającym grobowcu. Chodź, sprawdzimy! Szurając wśród zeschniętych liści, dotarli do bocznej kapliczki zwieńczonej obłazym ze złotej farby krzyżem.

- Jest! - o mało nie wrzasnął Crenshaw.

- Co?

- Zielona koniczynka. I znak plusa. Tu był Bob. Dalej nie poszedł.

Obeszli grobowiec, uważnie przyglądając się kratom. Wydawały się idealnie dopasowane. Ogradzały kawałek zielonego trawnika przed właściwym wejściem. Nagle w powietrzu zabrzmiał dziwny dźwięk. Chłopcy rzucili się do ucieczki, Jupiter potknął się, upadł w krzaki pomiędzy wystające korzenie, które się ugięły. Jedną nogą zawisł nad krawędzią dziury.

- Pete! - krzyknął przestraszony.

Crenshaw doskoczył w krytycznym momencie, jeszcze chwila, a Jupiter Jones wylądowałby w przepaścistej jamie lub dole śmierci otwierającym się zniecka, by pochłonąć w swym wnętrzu ludzką istotę tylko dlatego, że zakłóciła spokój zmarłym.

Crenshaw nieźle się napocił, by utrzymać grubasa.

- A mówiłem, żebyś schudł?

Nagle coś popchnęło Jupitera w górę. Poczł silny cios w udo. Z wnętrza ziemi wyleciała w powietrze deska, a za nią czarna głowa i dwie ubłocone dłonie.

- Rany boskie, żywy nieboszczyk! - wyszeptał Pete drżącymi wargami. - Jupe, wiejemy co sił w nogach!

- Kiedy nie mogę. Skręciłem nogę w kostce! - Pierwszy Detektyw z przerażeniem wpatrywał się w wylaniającą się z grobu postać. Zanim zdążył zamknąć oczy i pomodlić się do świętej Brunhildy, patronki ludzi nieszczęśliwych i opuszczonych, w którą bezgranicznie wierzyła ciotka Matylda, usłyszał zgrzyt zębów, czyjeś niezborne ruchy i charczący głos:

- Co tak długo, do diabła? Mogłem się zmienić w żółtą czaszkę, jak te na dole!

ROZDZIAŁ 8

KTO CHCE WSPÓŁPRACY Z POLICJĄ?

Następnego dnia w Kwaterze Głównej trwała gorączkowa narada.

- Dość tego! - wrzeszczał Bob. - Czuję głęboką niechęć do nierozwiązanych tajemnic! Całą noc moczyłem się w wannie pełnej piany, by zmyć ze skóry zapach nieboszczki Claudii Tarvi, żony jednego z Prosperów Osborne'ów!

- A mówiłeś, że jej trumna ocalała od zagłady, w odróżnieniu od innych, porozbijanych? - spokojnie odparł Pete. Masował ramiona zmęczone podpieraniem utykającego Jupitera. Całą powrotną drogę prawie niósł Pierwszego Detektywa ze spuchniętą stopą.

- I co z tego? Śmierdziała jak inne. Nie macie pojęcia, jak tam jest.

Jupiter Jones zmienił kompres. Oparty o kanapę, co parę minut moczył gazę w środku zmniejszającym opuchliznę. Co prawda, kostka nadal bolała, ale już dawało się na niej kuśtykać. Cała wyprawa na stary irlandzki cmentarz na wyspie wydawała się koszmarnym snem. Rozumiał stan psychiczny Andrewsa. W końcu nie co dzień obcuje się z czaszkami i piszczelami w ciemnym, zimnym grobowcu. Ale musieli węszyć dalej, bo wciąż połowa puzzli nie pasowała do siebie.

- Bob, było, minęło. Ale teraz, na Boga, weź się do roboty! Masz najnowocześniejszy sprzęt komputerowy, jeśli nie, poszperaj w bibliotece miejskiej. Muszą być jakieś informacje na temat grobowca Whitehouse'ów. Dlaczego słychać w nim ludzkie głosy?

Bob nadał się, ale nie mógł nie przyznać mu racji.

- Dobrze, ja tu zostanę. I sprawdzę, co się da. Ale Pete musi wyciągnąć coś z George'a Lawsons. Mówię wam, że słyszałem na cmentarzu głos Mortimera. On ma taki charakterystyczny akcent ze Wschodniego Wybrzeża. Tkwi w tym po uszy!

- Ale w co, Bob? W co? - Pete masował bark.

Jupiter ssał wargę.

- Odzyskał pamięć i nie chce się przyznać? Do czego? Szuka skarbu w gadającym grobowcu? To nie egipska Dolina Królów ani sarkofagi faraonów. To tylko stary cmentarz. Fakt, że dość niezwykły.

Gość, który wdarł się do Kwatery Głównej, też był niezwykły. I nieoczekiwany. Miał czerwoną ze złości twarz i spoconą policyjną czapkę w rękach.

- Gdzie Osborne? - wrzasnął od progu.

Jupiter głośno zagwizdał.

- Sierżant Mat Wilson? We własnej osobie? W czym możemy pomóc?

Szef posterunku w Rocky Beach oparł się plecami o ścianę.

- Nie daję rady - wysapał.

Pete szeroko otworzył oczy. To się zdarzyło po raz pierwszy w życiu. Mat Wilson! Słynny poskramiacz miejscowych gangsterów, facet, którego polecenie wbijało złodziejasków za kraty na całe lata, stał oparty o chwiejną futrynę i rozpaczał!

- My też - przyznał Jupiter. - Nic się nie klei.

- Co wiecie o tym Prosperze Osborne'ie? No, co wy o nim wiecie? Tak naprawdę?

Bob wyłączył komputer.

- A powie nam pan, co wie o śmierci wróżki Clarissy Montez? Bo to pierwszy trup w śledztwie. Nie mamy dostępu do protokołów koronera Bullita. Nasza przyjaciółka, Vanessa, została przez niego zobowiązana do milczenia aż do zakończenia śledztwa.

Mat wyprostował się.

- Kim jest naprawdę Prosper Osborne? Jupiter Jones chrząknął.

- Facetem, który stracił pamięć. W nieznanymi okolicznościach. Przyszedł do nas z rozbitą głową, zarosnięty niczym neandertalczyk. Naprawdę nic o sobie nie wiedział. Ocknął się z trzema czekami w kieszeni. Na okaziciela. Taki był początek.

- Sprawdzę ten hotel, w którym mieszka.

- Nie trzeba. Nazywa się "Grazia Piena". We włoskiej dzielnicy. Prowadzi go para - Graziella i Vincenzo Pergola. Mortimer mieszkał u nich. Pod osiemnastką.

- Mortimer? - zdumienie sierżanta było przeogromne.

- Pan Osborne. My nazwaliśmy go tak dlatego, że...

- Bob! - wtrącił Jupe. - To mało ważne. Tak, sierżancie. Nazwaliśmy nieznanego Mortimerem. Jakoś trzeba się było do niego zwracać.

- Dlaczego się przedstawił policji jako Prosper Osborne?

- Na szyi miał medalion. Z literami: PO. Andrews sprawdził, że to godło historycznego rodu. Ich praszczur razem z Beringiem odkrył Alaskę...

- Nie przesadzacie? - jęknął zgnębiony "szeryf".

- Nie - Jupiter postanowił odkryć parę kart. - Taki sam medalion miała na szyi Clarissa Montez.

Sierżant wsadził nos w służbowy notatnik.

- Niczego takiego nie było. Tylko srebrny łańcuszek. Sanchez nie przeoczyłaby medalionu!

- Istotnie - kiwnął głową Bob. - Ale miała go na szyi, gdy ja tam byłem. Przed śmiercią. Identyczny!

Mat Wilson przyglądał się chłopcom z niedowierzaniem.

- Poszliście do wróżki?

- Tak jakby. Cały czas śledziliśmy Mortimera. I ludzi z hotelu. Właściciel chyba nas nie docenił. Powiedział, że Mortimera przywiozła taksówką niejaka Clarissa Montez. Teraz pan rozumie?

- To nie ma sensu! - warknął Mat, wracając do równowagi. - Ona przecież mieszka w tej dzielnicy.

- Wtedy nie wiedzieliśmy, gdzie mieszka. Ani że jest wróżką. Za wszelką cenę chcieliśmy pomóc Mortimerowi. Odkryć jego przeszłość. Ale kiedy Bob zobaczył te skrzynie...

- I broń - dorzucił Jupe. - Zobaczył pod stołem kupę żelastwa.

- Sądziście, że Clarissa jest... szefową gangu?

- Nie, panie sierżancie - wtrącił Pete. - Raczej myśleliśmy, że chodzi o handel bronią.

- Dlaczego nie powiadomiliście policji? - huknął Mat. Widać wracał do normy.

- Bo nam pan nie dał szans - mruknął Jupiter. - A potem razem ze swoim Prosperem Osborne'em urządził pan ten cyrk na nadbrzeżu. Dlaczego?

Mat Wilson spochmurniał.

- Już mówiłem: Prosper Mortimer... tfu! Osborne przyszedł na posterunek, by zawiadomić, że statkiem o nazwie "Ariel" przyplynie ładunek narkotyków. Co się okazało bzdurą. Przeszmuglowali jedynie kilkunastu Meksykanów.

- I co na to Prosper?

- Nic. Zniknął. Dlatego go szukam. Także u was.

Jupiter Jones ważył racje. Współpraca z policją dawała dostęp do danych, o których trudno marzyć zwykłym śmiertelnikom. Ale też nie zamierzał rezygnować z samodzielnego wykrycia zarówno morderców Clarissy Montez i dziennikarza Benjamina Roberta, jak i tajemnicy gadającego grobowca.

- Mam propozycję - powiedział, zmieniając okład - zajmiemy się dalej sprawą pod warunkiem, że George Lawson będzie do naszej dyspozycji.

- Zwariowałeś? - ryknął Mat. - Konstabl policji współpracujący z bandą dzieciaków?

Bob prychnął niczym rozzłoszczony kot.

- A jednak przyszedł tu pan prosić o przysługę! Jesteśmy odpowiedzialnymi prywatnymi detektywami! Już nie raz się pan przekonał, że potrafimy rozwiązywać zagadki szybciej niż policja. Więc niech nas pan nie obraża...

- To co z tym Lawsonem? - Wilson pocierał czerwony nos.

- Poprosimy o pomoc tylko wtedy, kiedy trzeba będzie komuś założyć kajdanki. Albo go zastrzelić. Zgoda?

Mat kiwnął głową. Odlepił się od ściany, strzepując niewidoczny pyłek z munduru.

- Muszę o wszystkim wiedzieć. Codzienny raport!

- A koroner Bullit? - spytał Pete. - Co robi Bullit?

Wilson zmarszczył brwi. Też nie lubił powolnego Bullita.

- Wie tylko tyle, że dziennikarza otruto. To nie był atak serca. Najprawdopodobniej oba morderstwa popełniła ta sama osoba. Świadkowie widzieli, jak wysoki blondyn ze związaną z tyłu kitką, w dżinsowym garniturze, zniknął w krzakach tuż po waszym wyjściu z zoo. Taki sam pojawił się pół godziny przed wizytą Vanessy u wróżki.

- Czyli... zanim ona zobaczyła martwą Clarissę?

- Dokładnie. Tak zeznali liczni świadkowie. Więcej nic na ten temat nie wiadomo. Odcisków palców w kanciapie wróżki jest więcej niż gwiazd na niebie. Szukać blondyna z kitką, w dżinsowym garniturze, to jakby próbować znaleźć igłę w stogu siana.

- A co Sanchez odkryła pod podłogą kanciapy?

Mat wzruszył ramionami.

- Nic nie odkryła. O tym też wiecie? Były tam stare szmaty. Ani śladu broni.

- Bo wynieśli. Tam na pewno był jakiś schowek. - Bob zawzięcie bronił swoich racji. - Coś przechowywali.

- Może. Według planów w tej dzielnicy są podziemne przejścia. Kiedyś, w czasie prohibicji, szmuglowano tamtędy beczki z alkoholem. Włoty do piwnic dawno zasypano. Prohibicja się na

szczerście skończyła.

- Ale nie skończył się przemyt - powiedział Jupe. - A my dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi!

Dwa dni później detektywi zebrali się w Kwaterze Głównej, by porównać wyniki śledztwa.

- Bob, ty pierwszy. Co wiesz o grobowcu?

Andrews przetarł zaczerwienione powieki. Oczy piekły go od wielogodzinnego wpatrywania się w ekran.

- Są nowe dane. Rodzina Osborne'ów połączyła się z rodziną Whitehouse'ów pięćdziesiąt lat temu.

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku? Co się wtedy zdarzyło?

Bob szeleścił kartkami.

- Prosper Osborne numer szesnasty... licząc od początku rodu wyjaśnił, widząc zniecierpliwienie Pete'a - ożenił się ze starszą o trzydzieści lat wdową po magnacie naftowym Lincolnie Whitehouse'ie.

- Zrobił to dla forsy? - bąknął Jupiter.

- Jasne. Wdówka miała siedmiozerowe konto w banku i kupę ziemi. Jej trumna też tam jest. Pamiętam...

- A Prosper? Ten szesnasty?

Bob zawahał się.

- I tu jest problem. Po śmierci staruchy, miała już prawie sto lat, Prosper wyjechał do Europy. Niby po to, żeby ukoić nerwy po stracie ukochanej żony. A tak naprawdę... nabył posiadłość na Sycylii. W okolicach Palermo.

- Tam rządzi mafia. Cosa Nostra! - Jupiter dobrze pamiętał film "Ojciec chrzestny" nakręcony przez Coppolę.

- Tak. Prosper ożenił się po raz drugi. Z niejaką Cristiną Catalucci. Córką Sola Catalucciego. Mówi wam to coś?

Jupiter zagwizdał.

- Solo Catalucci! Zgodnie z tym, co nam powiedział Mortimer, jest właścicielem biura podróży Palermo Travel! Ale to niemożliwe. Dаты się nijak nie zgadzają. Ówczesny Solo kończyłby dziś

setkę.

- Zgadza się - radośnie przytaknął Bob. - Toteż nasz Solo jest synem tamtego. Też pochodzi z Sycylii.

- I co dalej? Zwariować można. Mieliśmy mówić o grobowcu Whitehouse'ów. A zesliśmy na Cosa Nostra! - Pete ćwiczył z zapalem podciąganie na ugiętych rękach. Drabinka na ścianie przyczepała trzeszczała niebezpiecznie.

- Sorry, ale to wszystko ma ze sobą związek - warknął Bob. - Pamiętajcie, że istnieje legenda o skarbie na cmentarzu na Windy Island? I hasło, które rzucił Roberto Montalban: baretta!

- To marka pistoletu. Może będziemy mogli wykorzystać hasło?

- Chcesz wleźć do grobowca? - przeraził się Bob. - Beze mnie! Odpadam!

Crenshaw przerwał ćwiczenia.

- Ja mogę pójść. Interesują mnie tamci ludzie. Chcę wiedzieć, co robią. Weźmiemy forda, wsiądziecie razem z Bobem, a ja pojedę radiowozem z Lawsonem. Zostawimy konstabla pod bramą. Tam jest mnóstwo miejsca, by ukryć policyjnego grata. Ty z telefonem komórkowym będziesz łącznikiem.

- Między kim a kim? - westchnął Jupiter.

- Między Lawsonem a mną. Kiedy wejdę do grobowca. Niestety, będę potrzebował jeszcze jednej komórki. Mat musi się zgodzić. Wejdę, bo znam hasło. Reszta to wasza sprawa.

- Mogą cię zabić! - sprzeciwił się Jupiter. - Są uzbrojeni. Łysy Solo Catalucci ma baretę pod lewą pachą. Roberto też.

- A widzisz inne wyjście? Ktoś zabił wróżkę i dziennikarza. A my jesteśmy w lesie. Policja także. Trzeba znaleźć blondyna z kitką. Na pewno ukrywa się w grobowcu!

- To jeszcze nie wszystko - westchnął Bob z nosem w notatniku. - Wygrzebałem tę informację w starych kronikach Muzeum Historycznego. Do spadkobierców wdowy po Lincolnie Whitehouse'ie należą rozległe tereny pomiędzy Reno a Sacramento. Jak myślicie, co tam jest?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Pete. - To górski łańcuch i wążóz Golden Rover. Ładnie i daleko.

Bob kręcił głową.

- Mój nos detektywa mówi mi, że ma to związek z naszą sprawą.

- Jaki?

- Nie wiem dokładnie. Należałoby zrobić wycieczkę.

Jupiter Jones rozłożył ręce.

- Zmiłuj się, Bob! To chyba z tysiąc kilometrów. Nie mamy czasu. Mnie nie interesuje Golden River, tylko gadający grobowiec na wyspie! Może nasz pan myszek jest spadkobiercą fortuny Whitehouse'ów i Osborne'ów?

Bob i Pete spojrzeli po sobie.

- Bingo! Jupe, jesteś genialny! To całkiem możliwe, że Mortimer to Prosper Osborne numer siedemnaście!

- Ja zwariuję! - Bob złapał się za głowę. - Sądziecie, że przyjechał z Europy? Z Palermo? Jego angielski jest bezbłędny. Czy to możliwe, że tutaj ktoś dał mu w łeb i po tym Mortimer zgłupiał doszczętnie, zapominając, kim jest? Kto mógłby to zrobić?

Jupiter Jones miał minę magika wyciągającego królika z cylindra.

- Inny spadkobierca. Czyhający na majątek po przodkach. Na przykład... po tej staruszce, jak jej tam... Bob?

Andrews wetknął nos w papiery.

- Żona Lincolna Whitehouse'a była z domu... była...

Chłopcy spojrzeli na przyjaciela z niepokojem. Bob był blady jak płótno.

- Co z tobą? Nie możesz odczytać? Źle się czujesz?

Bob oprzytomniał.

- Ona się nazywała Thereza Montalban! Thereza MONTALBAN WHITEHOUSE OSBORNE!

- Tu jest pies pogrzebany! - zajęczał Jupiter. - Teraz reszta puzzli zaczyna do siebie pasować. Wojna pomiędzy spadkobiercami. Prosper Osborne contra Roberto Montalban! Trzeba ostrzec Mortimera! O ile nie wróciła mu pamięć. O ile wie, o co tu chodzi?

- O złoto! - wyszeptał Bob, stukając w klawiaturę. - O złoto, panowie! DUUUżo złota!

Następnego dnia każdy z Trzech Detektywów robił to, co do niego należało. Bob sprawdzał stare mapy w Instytucie Geologii. Jupiter Jones uzgadniał szczegóły z George'em Lawsonem na posterunku policji. Najbardziej ekscytujące zajęcie przypadło Crenshawowi. Tak się do niego przygotowywał, że aż wylał na siebie pół butelki ojcowskiej wody kolońskiej.

- Tato, nie bądź sknerą. Idę na randkę z piękną dziewczyną.

- Trzydziesta szósta w tym tygodniu! - papa Crenshaw zatkał nos. W łazience unosiły się opary nie do wytrzymania. - Jak się nazywa dzisiejsza ofiara, synku?

- Juanita. Juanita Montenegro. Dziewczyna z biura podróży o nazwie Palermo Travel. Ale ona jeszcze nie wie, że idzie ze mną na randkę.

Godzinę później już wiedziała. Elegancki i pachnący wodą Armaniego chłopak o bicepsach sportowca i urzekających zielonych oczach zauroczył ją całkowicie.

- Załatwi mi pani ten wyjazd? - oczy Crenshawa błyszczały wewnętrzną gorączką. Jego uśmiech numer dwanaście był zniewalający.

- Za... załatwię - wyjąkała Juanita, czując, jak jej miękną nogi.

- A pójdzie pani ze mną na kawę? - czarował.

- Ja... pracuję - wyszeptała, czując jego oddech na karku.

- To zrobi pani sobie przerwę - rzekł, biorąc ją za rękę. - Jakie śliczne paluszki...

Dwadzieścia minut później siedzieli w kawiarni hotelu, "Majestic". Pete, prócz włoskich pachnideł, wydusił od ojca zaliczkę. Mógł więc spokojnie zamówić aperitif.

- Jest pani Włoszką?

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami.

- Po ojcu. Mama pochodzi z Meksyku. A pan?

- Jestem... reżyserem. Mój ojciec jest... współwłaścicielem studia filmowego Universal.

Że też żaden grom nie strzelił z jasnego nieba za takie kłamstwo! Papa Crenshaw, co prawda, pracował w Universalu. Był najlepszym ze speców od efektów specjalnych. I tylko tyle. Za to dziewczyna stała się od tej pory kawałkiem plasteliny, który można dowolnie ukształtować. Jeśli się to potrafi, naturalnie.

- Ja tak chciałam być aktorką! - wyszeptała. - Kiedy przyjechałam z Teksasu do Kalifornii, starałam się o choćby najmniejszą rolę w Hollywood. Niestety. Takich jak ja są tysiące. Wuj urządził mnie w biurze podróży.

- Wuj?

- Tak. Nazywa się Solo Castalucci. Jest Włochem, jak tato. Ma w Palermo na Sycylii takie samo biuro. Współpracujemy przez ocean. On wysyła wycieczki do Ameryki, ja do Włoch.

Pete był w domu.

- To bardziej interesujące zajęcie niż całodzienna harówka na planie zdjęciowym. Zaręczam. Mogę ci mówić... Juanita?

- Naturalnie - zaczerwieniła się. - Tak, Pete. Co jeszcze chcesz o mnie wiedzieć?

Crenshaw uśmiechnął się ciepło.

- Wszystko. Mieszkasz z wujem?

- To raczej on mieszka z nami.

- Jak to?

Zakręciła się niespokojnie. Upiła łyżeczek ze szklaneczki.

- To takie skomplikowane. Włosi są bardzo... jakby tu rzec... rodzinni. Mamy rozliczne powiązania.

Coś o tym wiem! - pomyślał Pete, starając się nie uronić ani słowa z tego, co mówiła Juanita.

- To zrozumiałe, ale... wytłumacz mi... - dłoń bezwiednie gładziła jej palce.

- Mieszkamy z dalszą rodziną. Nazywają się Tarvi. Mam jeszcze dalekiego kuzyna Roberta Montalbana. Obie familie się zwalczają. Od lat. To takie... przykre.

Pete miał dość. Jakże dobrze znał te wszystkie nazwiska z notesu Boba. Ale jakże trudno się w tym wszystkim nie pogubić!

We wtorek, tuż po czwartej po południu, rozpętała się nad Rocky Beach potworna burza. Huraganowy wiatr miotał gałęziami, deszcz z gradem zalewał ulice, wpływając do niżej położonych piwnic. Autostrady tonęły w powodzi, a policja drogowa nie nadążała ze ściąganiem z pasów aut z kompletnie zamkniętymi silnikami.

W tym zgiełku i straszliwym chaosie dwa samochody z trudem przebijały się do starego portu.

- Jak myślisz, Jupe, czy prom na wyspę w ogóle popłynie?

- Nie mam pojęcia. Chciałbym już to wszystko zapiąć na ostatni guzik, bo w głowie mam na razie niebotyczny mętlik.

Bob poprawił okulary. Przez przednią szybę widać było tylko fale deszczu. Wycieraczki nie mogły się z nimi uporać.

- Tak skomplikowanych układów rodzinnych nie może zrozumieć przeciętny Amerykanin. Zanotowałem wszystko, co powiedział Pete. Ale za chińskiego boga nie powtórzę tego bez zagłębienia do notesu. Kto był czyją babką i gdzie podział się majątek Whitehouse'ów! Bo o niego tu

chodzi. Mortimer się nie pokazał?

- Nie - Jupiter o mały włos przegapiłby zjazd do portu.

- Czy Pete z George'em Lawsonem jadą za nami?

Bob obejrzał się. Światła drugiego samochodu to ginęły, to znów się pojawiały.

Zaparkowali przy zjeździe. Dziś, oprócz nich, nie było żywej duszy. George ustawił się tuż za nimi. Nikt nie miał odwagi wysiąść. Po dziesięciu minutach pojawiła się postać w żółtej sztormówce.

- Chcecie płynąć na wyspę?

- Tak! - odkrzyknął Jupe. Deszcz i wiatr unosiły jego słowa nad ocean. - Koniecznie.

- Nic z tego. Prom, który rusza za pięć minut, nie bierze samochodów. Dopiero następny. Za dwie godziny. Komunikat meteo jest pomyślny. Wichura skręca na północ.

Pete w czarnej nieprzemakalnej kurtce pojawił się obok.

- Jadę. Sam.

Bob błagalnie złożył dłonie.

- Nie! Zaczekaj!

Pete wzruszył ramionami.

- Taka okazja więcej się nie powtórzy. Wierzę, że dziś w grobowcu nie będzie nikogo. Huragan jest darem niebios. Zrozumcie! Jupe musi prowadzić forda, Lawson - radiowóz. Bob już tam więcej nie wejdzie. Zostaję ja. Wiecie, że sobie poradzę. Otworzę kratę, choćby to był najlepszy z elektronicznych zamków. A nie jest. Dobrze ją wcześniej obejrzałem. Lecę, bo prom odpływa, czekam na was za dwie godziny!

I tyle go widzieli.

- Wziął ze sobą telefon komórkowy? - spytał cichutko Bob.

- Mam nadzieję. Tak uzgodniliśmy. Martwię się jednak.

Pete Crenshaw był w swoim żywiole. Dla wysportowanego chłopaka żaden wiatr ani wysoka fala nie były przeszkodami nie do pokonania. Wierzył, że wszystko się uda. Czuł, jak mu rośnie poziom adrenaliny. Chciał za wszelką cenę dowiedzieć się, kto hałasuje w gadającym grobowcu.

Po pół godzinie niezłego kołysania prom "Lukrecja" dobił do przystani na wyspie. Oprócz Pete'a wysiadło tylko dwóch mężczyzn, niezłe podпиты, i kobieta z koszem. Jej rozwiane na wietrze szaty były dla Crenshawa drogowskazem. Niestety, murzyńskiego kierowcy rozklekotanego autobusu nie znalazł. Pojazdu też nie. Nie miał wyboru. Walcząc z silnym wiatrem, ruszył szybkim krokiem. W połowie drogi musiał zapalić latarkę. Kobieta gdzieś zniknęła, wtopiła się w czerń, a ścieżka się rozwidlała.

- W lewo. Drogowskaz wskazuje w lewo.

Bieg na przełaj to było to, co Crenshaw uwielbiał najbardziej. Walka z wiatrem i słabnącym, na szczęście, deszczem nie zakłócała mu przyjemności. Dziesięć minut później przed oczami chłopca zamajaczyła brama cementarna.

- Porzućcie wszelką nadzieję! - odczytał na głos wykutą w kamieniu sentencję. - Porzućcie, złoczyńcy! - dodał. - Oto nadciąga sprawiedliwość!

Jakiś czas kluczył, szukając dojścia do grobowca-zamczyska. Na szczęście, jego wieżyczki odcinały się czarnymi plamami od burzowego nieba. Gdzieś daleko huknął grom. Pete'em wstrząsnął dreszcz. Magia miejsca zadziałała. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z sytuacji, w którą się wplątał na własne życzenie. Sam, bez ubezpieczenia ze strony gliny, marnego bo marnego, ale zawsze. Tylko Lawson miał broń. I tylko on mógł, w razie czego, wezwać posiłki. Mat Wilson nie wierzył w historię o gadającym grobowcu. Jako pragmatyk i policjant z krwi i kości, wzruszał ramionami na samo wspomnienie duchów, trumien i czaszek szczerzących żółte zęby.

Pete przywarował. Nasłuchiwał ludzkich głosów. Ale słyszał tylko szum starych drzew. Wiele połamanych gałęzi leżało na ścieżkach, tarasując przejście. Po chwili przykucnął obok kraty. Zamek nie stanowił problemu. Dzięki dobremu wytrychowi poradził sobie w mig. Gorzej szło z kratą; odsuwający ją mechanizm działał tylko wtedy, gdy od wewnątrz włączano elektroniczny przycisk. Po chwili dłubania i ta przeszkoda została pokonana.

- Wchodzę - powiedział, przykładając dyktafon do ust. - Od tej pory wszystko nagrywam.

Stare, żelazne drzwi zgrzytały. Tak jak jego ciężkie martensy na żwirze. Każdy krok był słyszany z odległości kilku metrów.

- Specjalnie wysypali ostry grys, żeby słyszeć obcych. Jest drucie wejście. Do diabła! Znów zamek. Wyłączam na chwilę dyktafon.

Tym razem szło o wiele trudniej. Gdy w końcu, zlany potem, dotknął zimnego metalu, poczuł, jak pod jego dłonią uchyla się lewe skrzydło. Z ciemności wydobywał się lekki zapach zgnilizny.

- Jestem. Wchodzę. Zapalam latarkę. Coś takiego! No... zaraz... - schody prowadziły do ogromnego pomieszczenia.

W świetle latarki Pete dostrzegł doskonale urządzone... studio komputerowe! W pomieszczeniu

stały trzy wyłączone maszyny, dwie drukarki i sejf zamykany na zamek szyfrowy. Pete wyjął telefon komórkowy. Sprawdził zasięg i wystukał numer Andrews'a.

- Bob! - wymruczał. - Tu jest baza danych. Komputery. Ale nie wiem, jak je uruchomić.

- Jaka baza? - Głos Boba dochodził i zanikał.

- Komputerowa! Całe studio. Drukarki, papier, czekaj, spróbuję wcisnąć "enter".

- I co? - Andrews szemrał jak z dna studni. - Co widzisz, mów!

- Dyskietki chyba trzymają w sejfie. Wcisnąłem "enter", ale komputer każe mi podać hasło. Nie znam go!

- Pete! - głos Jupitera zabrzmiał głośno i wyraźnie. - Zaczekaj, nic nie rób. Niczego nie ruszaj. Zjawimy się z Bobem za godzinę...

Pete usłyszał szmer. Albo tylko tak mu się zdawało.

- Jupe, Bob, chyba mam gościa. Wyłączam się!

Wyłączył nie tylko komórkę. Także latarkę. W ciemnościach wyraźnie rozbrzmiewały ludzkie kroki. Ktoś schodził po schodach. Kto? Pete skulił się pod jednym ze stolików. Machinalnie uruchomił dyktafon. Błysnął promień cudzej latarki, rozgarniając mrok. Najpierw ukazały się buty. Męskie. Potem nogawki dżinsowych spodni. Pete zamrugał. Ze strachu czy też zmęczenia pot spływał mu z czoła, zalewając oczy. Otarł je dłonią. Wziął kilka głębokich oddechów. Nagle całe pomieszczenie zalało jaskrawe światło. Nieznajomy włączył elektryczność. Rozejrzał się po wnętrzu i przystanął. Ze schodów do środka pomieszczenia prowadziły ślady ubłoconych martensów. Sportowych butów Crenshawa.

- Wyjdź! - rozległ się ostry głos. - Wiem, że tu jesteś!

Pete czuł, jak ogarnia go wściekłość. Wyłazł spod stolika, łupnął się w ciemność. Na moment go zamroczyło. W drugiej sekundzie zobaczył. Faceta w dżinsowym garniturze. Blond włosy związane w kitkę. Twarz ukryta w grubym szalu.

- To pan... pan zamordował wróżkę i dziennikarza! - wyjąkał. - To pana widzieli świadkowie!

- Co ty mówisz... - śmiech z wysokich tonów opadał w tony gardłowe. - Głupcze, nie trzeba było tu przychodzić!

Pete wybałuszył oczy. Ależ tak! Wiedział, kim jest przybysz. Tylko się go tutaj nie spodziewał. Zanim zdołał wykrztusić choć jedno słowo, poczuł silny cios. I znów zapanowała ciemność.

Mężczyzna przeskoczył leżącego i podszedł do bocznej ściany. Przesunął ślepią cegłę. Ściana drgnęła, odsłaniając korytarz prowadzący do właściwego grobowca. I do trumien zalegających pozostałe pomieszczenia.

- Bob, zatelefonuj do Crenshawa - powiedział Jupiter Jones, parkując forda pod cmentarną bramą. Za nim, w odległości paru metrów, zatrzymał się radiowóz Lawsons. Tylko dzięki interwencji policji udało się wprowadzić wozy na prom. Ocean był jeszcze wzburzony, a kapitan bał się kłopotów z ładunkiem. Uległ, gdy wściekły George wyciągnął bloczek mandatowy.

- Nie odpowiada - zmartwił się Bob. - Co to za studio komputerowe w grobowcu? Jakaś kompletna bzdura!

George Lawson przytrzymał czapkę, by jej nie porwał wiatr.

- Mam tu zostać?

- Tak. Zachowamy z panem łączność. Idziemy na cmentarz. Pete nie odpowiada. Albo wyłączył komórkę, albo rozładowały mu się baterie.

- Albo coś się stało - przygryzł wargi Bob. - I teraz leży w objęciach Therezy Montalban Whitehouse Osborne...

George odszedł do radiowozu, Jupe już chciał wysiąść z forda, gdy nagle drzwiczki otworzyły się od zewnątrz. Dłoń, którą zobaczył, trzymała trzydziestkę piątkę. Załadowaną. I odbezpieczoną.

Jupiter Jones westchnął. Czegoś takiego powinien się spodziewać w tę ciemną, cmentarną noc. Ale nie w obecności radiowozu policyjnego, majaczącego za załomem muru.

- Tam jest policja - powiedział grubym głosem.

- Wiem - odparł niewidoczny właściciel pistoletu. - Nie mam złych zamiarów, tylko...

- Trzyma nas pan pod bronią! - zapiszczał Bob. - Kim pan jest?

- Włoskie Segredo Servizio - odparł tęgi, łysiejący facet z brodawką koło nosa, wsadzając głowę do wnętrza wozu. - Inaczej mówiąc, Włoskie Służby Specjalne.

Jupiter Jones zagwizdał. Facet schował pistolet.

- Widziałem już pana. Wraz z drugim weszliście do komisariatu policji. Ale tam nikogo nie było.

- Tylko wy dwaj. W męskiej toalecie - roześmiał się łysy, wyciągając łapę wielkości szufli do koksu. - Nino Tarvi.

Bob zakrył rękami głowę.

- To morderca, Jupe, nie daj się zwieść! Facet jest z Cosa Nostra! Tarvi! Jego nazwisko

widnieje na trumnach na cmentarzu.

- Masz rację - łysiejąca głowa zniknęła z pola widzenia. - Jestem w jakiś sposób związany z aferą Whitehouse - Osborne - Tarvi. Ale przyleciałem tu z Włoch, by odnaleźć zbiega-mordercę. A on teraz jest na cmentarzu. I waszemu koledze grozi śmiertelne niebezpieczeństwo!

- Boże, Pete! On wszedł do grobowca! Telefonował z komórki, że pokonał zamki i zabezpieczenia. Pan naprawdę jest z włoskiej policji?

- Oto moja legitymacja. Współpracujemy z amerykańską FBI. Ale teraz musicie mi zaufać. Szkoda każdej minuty!

Jupiter Jones otrząsnął się. Już wiedział, jak postąpić. Sprawa sprawą, ale teraz najważniejsze jest zdrowie i życie Pete'a.

- Co zrobić z George'em Lawsonem?

- Niech tu zostanie. Gdyby była potrzebna interwencja policji, to mam radio. Zawiadomiłem także posterunek w Rocky Beach. Moi włoscy i amerykańscy szefowie przykazali mi współpracować z miejscową policją.

Bob wyłaził, osłaniając twarz kołnierzem. Ostatnie podmuchy wiatru spowodowały nagły spadek temperatury.

- Dam znać Lawsonowi! Zaczekajcie minutę!

- Bob! - Jupiter naciągał kaptur skafandra. - Miałeś nie wchodzić do grobowca.

Andrews popukał się palcem w czoło.

- Zwariowałeś, człowieku! Skoro tam jest studio komputerowe... Rozumiecie? Studio! W grobowcu! Miałbym przepuścić taką okazję? Zna się pan na komputerach, panie Tarvi?

- Ja nie. Ale wiem, że ty jesteś jednym z najlepszych hakerów na Zachodnim Wybrzeżu. I będziesz mi potrzebny. Jak nikt nikomu.

Przebiegnięcie alejki i ukrycie się za wejściem do bocznej kapliczki zabrało im siedem minut. Agent Tarvi stapał tak cicho, że nie trzasnęła żadna gałązka. A leżało ich na ścieżkach niemało.

- Co teraz?

Tarvi przyłożył do ściany tajemnicze pudełko. Włączył klawisz.

- Posłuchamy. Są tam obaj. Crenshaw i morderca. Ale słyszę tylko jednego.

- Boże, co z Pete'em?

- Spokojnie. Muszę zlokalizować tego, który łązi. Chce się dostać do trumny.

Jupiter ssął wargę. Bał się o Drugiego Detektywa, ale też chciał do końca rozwikłać zagadkę, która zaczęła się układać w dosyć spójną całość.

- Do trumny praprababki Claudii Tarvi Osborne czy też Therezy Montalban Whitehouse Osborne? To ostatni nie znany mi szczegół.

Agent znieruchomiał.

- Nie doceniłem cię, Jupiterze. Wiesz więcej niż ja?

- Tak sędzę. Ale dopóki Crenshawowi grozi niebezpieczeństwo, nie powiem ani słowa. Bo ja już wiem, kto jest mordercą! I dlaczego zostawia za sobą trupy.

- Więc powinieneś także wiedzieć, że musimy go złapać na gorącym uczynku. Samo wejście do grobowca nie jest karalne. Wyprze się wszystkiego!

Jupiter skinął głową.

- Może pan na nas liczyć.

Do wnętrza grobowca wsunęli się po cichu i po ciemku. Prowadził Tarvi, mając w ręku odbezpieczony pistolet.

- Uwaga na schody. Są śliskie.

W pierwszym pomieszczeniu nie było nikogo. Drugie, oświetlone jarzeniówkami, przedstawiało się imponująco. Ściany, wyłożone meksykańskim korkiem, tłumiły wszelkie odgłosy. Ogromny wentylator zapewniał szybką wymianę powietrza. Trzy komputery wielkiej mocy wraz z drukarkami wypełniały wnętrze. Lodówka i kuchenka mikrofalowa, czajniki bezprzewodowe i ekspres do kawy. Pełny komfort.

- Jest! Jest Pete! - szepnął Bob. - Leży... tam...

Tarvi nachylił się nad chłopcem.

- Żyje, jest tylko ogłuszony. Trzeba go wynieść na powietrze. Ja zostaję. Morderca jest w prawej komorze grobowca. Przesuwa trumny.

Ocucony wodą mineralną, Pete otworzył oczy.

- Gdzie... ja jestem?

- W porządku! - ucieszył się Bob. - Nic ci nie będzie. Możesz się ruszać? Chcesz wyjść?

Pete dotknął karku. Spojrzał na nieznanego z pistoletem.

- Kto to?

- Przyjaciel. Wyjdiesz stąd sam?

Crenshaw palcem wskazał ścianę.

- On tam jest. Morderca. To...

Jupe palcem dotknął nosa. Pete natychmiast umilkł.

- Wchodzę za nim - mruknął Tarvi. - Bob, włącz komputery. Hasło: baretta. Drukuj i skanuj wszystko, co jest na dysku.

- Nie lepiej go po prostu wyjąć?

- To niemożliwe! Jeśli to zrobisz, wszystko eksploduje. Oni się zabezpieczyli. Wiem, co mówię. Nie ma czasu na kombinacje!

Bob usiadł na krześle. Za chwilę jego oczom ukazały się dokładne mapy wojskowe terenów pomiędzy Reno a Sacramento, autostrada nr 80 przecinająca granicę pomiędzy Nevadą a Kalifornią, droga wzdłuż doliny Truckee River aż do Tahoe National Forest, park stanowy Donner Lake...

- Mother Lode Country! - wyszeptał wzburzony. Złotonośne żyły kwarcu! Stare sztolnie w nieczynnej kopalni złota! Sierra City! Miasto-widmo. I dzikie ścieżki, nie używane od lat.

Nawet nie zauważył, kiedy za ścianą zniknął agent Tarvi wraz z Jupiterem Jonesem. Crenshaw dochodził do siebie, przykładając do karku lód z lodówki. Za nic na świecie nie dałby się wyprowadzić z grobowca. Nikomu!

- Co jest, Bob? - wymruczał wreszcie, czując, że wraca do życia.

- Kopalnia złota. Tak jak myślałem. I jeszcze coś...

- Co?

- Biuro turystyczne Palermo Travel.

- Co z nim? - Pete wypijał już drugą colę.

- Wiesz, czym się zajmowało?

Nie zdążył odpowiedzieć. Z głębi grobowca rozległ się potworny rumor, potem dzikie wrzaski, a na końcu dwa strzały. A potem zapadła długa martwa cisza.

ROZDZIAŁ 9

WSZYSTKO SIĘ WYJAŚNIA

- To niesamowite, co opowiadacie - jęknęła mama Crenshaw, zapatrzona w falującą na wietrze firankę. Wszyscy siedzieli przy okrągłym stole w jadalni ciotki Matyldy. Wuj Tytus ssał wygasłą, a właściwie nigdy nie zapaloną fajkę, a ciotka nalewała kolejną, chyba czwartą, filiżankę aromatycznej herbaty. Państwo Andrewsowie, trzymając się za ręce, wpatrywali się osłupiałym wzrokiem w Trzech Detektywów.

- Sami do tego doszliście?

Jupiter Jones wypiął pierś.

- Prawie. Ale sami poskładaliśmy puzzle do kupy.

- Najgorzej było w grobowcu! - wstrząsnął się Bob, poprawiając opadające okulary. - Za pierwszym razem. Te czaszki, porzucane kości...

- Bo wszyscy poszukiwali skarbu - wtrącił Pete. - Od stu lat. Tylko nikt nie wiedział, co to jest. W grobowcu buszowali mieszkańcy Windy Island już od pięćdziesięciu lat. Myśleli, że są tam klejnoty, złoto...

- A złoto, i to ogromna żyła, znajdowało się kilkaset kilometrów stąd. W starej sztolni z tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku.

Papa Crenshaw złapał się za głowę.

- Przecież to wieki temu! Kopalnię zamknięto, bo nie opłacało się wydobyć.

Pete pokręcił głową. Kark jeszcze miał nieco sztywny. Cios rękojęścią pistoletu okazał się dość silny.

- Z wyjątkiem piekielnie bogatej żyły, do której nigdy nie dotarto. Wtedy nie było takich możliwości technicznych. Nie zbadano dobrze składu chemicznego skał. Dopiero trzy lata temu, przez przypadek, pewien turysta amator złotodajnego kruszcu, chemik z Doliny Krzemowej, wszedł do sztolni. I odkrył samorodek o wadze sześćdziesięciu gramów. A że był naiwnym człowiekiem, pochwalił się znajomym. Kilka dni później zniknął. I do dziś nie wiadomo, gdzie ukryto ciało.

- Zamordowany?

- A jakże. Przez faceta, który rości sobie prawa do gruntów leżących w obrębie masywu górskiego Sierra Nevada. I wielu innych. Niestety, żeby to zrozumieć, musimy cofnąć się do czasów, gdy niejaki Prosper Osborne numer jeden odkrywa wraz z Beringiem Alaskę, a potem złoto nad Jukonem. Tak się tym kruszcem zauroczył, że zaraził swoich następców.

- Boże, Jupe, skracaj się. To prehistoria!

- Wiemy - Bob łądował do ust spory kawał ciasta z dyni. Specjalność ciotki Matylidy. - Jupiter zaraz przeskoczy do Osborne'a numer szesnaście. Też Prospera. Bo to imię nadawano każdemu pierworodnemu.

- Żeby maksymalnie skrócić opowieść, dodam tylko: Osbornowie połączyli się z rodziną Whitehouse'ów pięćdziesiąt lat temu. Kiedy to Prosper numer szesnaście ożenił się z bogatą wdową po magnacie naftowym Lincolnie Whitehouse'ie. - Jupiter wypił łyk herbaty. - A skracając jeszcze bardziej, wspomnę jedynie, że po śmierci żony wyjechał z ogromną forszą do Europy...

- Ścisłej do Italii. Na Sycylię.

- Zwariował? - papa Crenshaw zmienił kasetę w magnetofonie. Nagrywał cały tekst dla dziennika "Sun Press", w którym pracował. - Tamejsza mafia pewnie go oskubała co do centa!

- Nie od razu. Osborne ożenił się z Włoszką z mafijnej rodziny Catalucci. Miał syna.

- Też Prospera? - ciotka Matylida wniosła drugą tacę z ciastami.

- Też. Numer siedemnasty, licząc od początku dynastii. I właśnie on spowodował wszystkie rodzinne kłopoty. Wszedł w spór z innym mafijnym sycylijskim rodem. Ci wydali go policji.

- Jednym słowem, numer siedemnasty wylądował w kiciu? - uściślał wuj Tytus.

- Właśnie. I na dodatek był niepoprawnym gadułą. Zwierzył się koledze z celi, że ma w Ameryce potężny majątek pod postacią tysięcy akrów gruntu. To wystarczyło, by zginął. W więzieniu.

Ciotka Matylida wybałuszyła oczy.

- To znaczy... że nie ma już żadnego potomka Whitehouse'ów?

- Nie ma. Ale ten kumpel z celi postanowił wcielić się w Prospera numer siedemnaście. W Ameryce nikt go nigdy nie widział. Przyleciał z dokumentami nieboszczyka do Waszyngtonu. Tam przez prawie dwa lata szlifował język. Później wylądował w Kalifornii. Ale we włoskiej dzielnicy wszyscy się znają. Przybysz szybko poznał rodzinę Cataluccich i Montalbanów. Nie wiedział tylko, że żoną Lincolna Whitehouse'a była niejaka Thereza z domu Montalban. Zatem...

- Tutejsza włoska mafia zrozumiała, że też ma prawa do ziemskiego majątku po Whitehouse'ach. Tyle że...

- Nikt nie wiedział, gdzie są dokumenty świadczące o własności tysięcy akrów gruntów, z dawnymi kopalniami złota na czele.

- W grobowcu? - jęknęła mama Crenshaw.

- O tym wiedział tylko fałszywy Prosper numer siedemnaście. Tyle że i on, w pewnym momencie, zaczął się bać tutejszej "RODZINY". Co mafia, to mafia. Na Sycylii czy w Kalifornii tak samo znikają ludzie. Zaczął się wyścig pomiędzy fałszywym Prosperem a rodziną Cataluccich i Montalbanów. Raz go dopadli. Dostał kijem bejsbolowym w głowę. Myśleli, że nie żyje. Ale nasz fałszywy Prosper tylko stracił pamięć. Kiedy się zorientowali, że żyje, ale nic nie kuma, postanowili zostawić go w spokoju. - Jupiter oddychał ciężko.

- To był błąd. Tak więc Mortimer trafił do nas. Do Trzech Detektywów. Już wiecie, dlaczego nazwaliśmy go panem myszką. - Bob starał się być dokładny. - Chcieliśmy mu pomóc. Na początku rzeczywiście niczego nie pamiętał. Dopóki...

- Dopóki nie rąbnął się o schodek w naszej Kwaterze Głównej. Wtedy mu pamięć wróciła. Może nie od razu. Ale stopniowo. My o tym nie mieliśmy pojęcia.

- Myszek postanowił skołować wszystkich: policję, nas, rodzinę Cataluccich i Montalbanów oraz kilka postronnych osób. A potem, zrozumiał, że jest kompletnie sam, zaczął eliminować wrogów. Po kolei. Z matematyczną dokładnością. Kupił blond perukę z kitką. I dzinsowy garniturek.

- Dlaczego zabił wróżkę Clarissę Montez?

- Była ważnym ogniwem rodziny. O tym później. Ona to, na polecenie Sola Catalucci, przywiozła Mortimera z cementarza, do którego w końcu dotarł i gdzie go chcieli zabić ciosem w głowę, do hotelu rodziny Pergola. Hotel nazywa się "Grazia Piena", czyli "łaski pełna", a rodzina Pergola ma w tym wszystkim niebagatelny udział...

- Po kolei, Juve! - wtrącił Bob. - Inaczej niczego nie rozumieją.

- Nie jesteśmy głupcami! - zaprotestowała mama Andrews. - Nie sądz, że razem z ojcem nie potrafimy zliczyć do... siedemnastu!

Jupiter Jones roześmiał się.

- I co dalej? - denerwowała się ciotka Matylda. Z placka zostały już tylko okruszki. - Co z panem myszką?

- Nabrał nas na przyjaźń. Chciał się włączyć do naszego śledztwa, by sobie zagwarantować niezłe alibi. Przez rzekomą utratę pamięci zerwały mu się też powiązania z Włochami. A oni pracowali... jak mróweczki!

- Trzeba przejść do drugiego wątku - zgodził się Pete. - A ten drugi łączy się z pierwszym. Ale do rzeczy. Na początku sądziliśmy, że rodziny handlują bronią. Bob odkrył pod stołem wróżki kilka skrzynek i parę karabinów. Nie miało to jednak nic wspólnego z handlem żelastwem...

- Tylko z czym?

- Z przemytem.

- Czego, Pete? - zdenerwował się wuj Tytus.

- Ludzi, proszę pana, ludzi! Głównie Meksykanów.

- Po co? Jak mogli zarobić na bezrobotnych analfabetach?

Jupiter podniósł palec w górę.

- Oni szmuglowali robotników. Do kopalni złota! Tej samej, którą wcześniej odkrył chemik i przez którą zginął. Tej kopalni nie można było eksploatować w sposób legalny. Gubernator Kalifornii nigdy by się na to nie zgodził. Tym bardziej, że teren leży na pograniczu dwóch stanów, Kalifornii i Nevady. On do dziś sądzi, że te ziemie są parkiem narodowym. Nikt z rządzących naszym stanem nie wie, że w trumnie Therezy Montalban Whitehouse Osborne odnalezione zostały papiery sprzed stu lat!

- Nikt, nawet kustosz z Muzeum Historycznego w Los Angeles nic miał o tym pojęcia. Ani Urząd Ziemski - dorzucił Bob.

- Ale się zdziwią! - roześmiał się papa Andrews. - Moja gazeta jako pierwsza to opublikuje! Dlatego od pierwszej minuty nagrywam opowieść Trzech Detektywów. Tak jak Pete rozmowę z mordercą. W grobowcu. I co dalej?

- Medaliony, takie jak ten - Jupiter położył na stole srebrny przedmiot - oznaczały przynależność do rodziny. Miał go Mortimer i inni. Także wróżka, bo to pod jej kanciapą przechodzili meksykańscy imigranci, szmuglowani przez granicę dzięki biuru podróży Palermo Travel. Obie te instytucje, amerykańska i włoska, trudniły się nielegalnym przetrzutem ludzi. Także do Europy. W Rocky Beach Meksykanie kierowani byli od razu do kopalni. Tam pracowali w straszliwych warunkach, za łyżkę zupy. Przemyt szedł przez kanciapę wróżki, podziemnym tunelem wykopanym jeszcze za czasów prohibicji.

- I nikt z normalnych gości hotelowych "Grazia Piena" się nie zorientował? - wuj Tytus z niedowierzaniem kręcił głową.

- Tam nigdy nie było innych gości. No, oprócz pana myszka. Hotel służył za pierwszą bazę przetrzutu. Potem starymi autobusami przewozili ich dalej. Śledzeni satelitarnie z bazy komputerowej w grobowcu. Mówię wam... - zachwycał się Bob. - to istna Baza Wszelkich Danych!

- A jak się rodziny już zorientowały, że Mortimer odzyskał pamięć? - mama Crenshaw dziobała resztkę ciasta.

- To ich członkowie postąpili chytrze. Zawiadomili policję, konkretnie Mata Wilsona o... nielegalnym przemyście heroiny. Taki blef! Nigdy nie było narkotyków. Mortimer byłby wpadł w pułapkę, gdy by się nie przedstawił jako... adwokat Prosper Osborne.

- A ta dziewczyna? Juanita?

Pete uśmiechnął się.

- Miła dziewczyna. Ale żyje pomiędzy dwoma zwaśnionymi rodami: Cataluccich i Tarvich. Nasz agent Segreto Servizio z Sycylii musiał wtajemniczyć ją w część spraw. Juanita o wielu rzeczach nie miała pojęcia. Tarvi wysłał ją na cmentarz. Miała zanieść kopertę z danymi dotyczącymi nowych szlaków przerzutu. Bo morderstwa postawiły policję na nogi. Także koronera Bullita. Mafia musiała zmienić szlaki. Za Juanitą poszedł Bob. Ale tam czekał już kochany kuzynek Roberto Montalban. I to on rąbnął Boba. Potem go przerzucili do starej części grobowca.

- Z czaszkami o żółtych zębach! - wstrząsnął się Andrews. - Ale to ja zobaczyłem na trumnie Therezy znak: owalny medalion Osborne'ów.

- Dlaczego agent Tarvi nie zlikwidował wcześniej Prospera, to jest... Mortimera? - zdziwił się papa Andrews.

- Próbował. Raz go nawet porwał z ulicy. Widzieliśmy zielonego chevroleta. Ale Mortimer im zwiął. Był sprytny!

- Dlaczego zamordował dziennikarza Benjaminą Robertsa? I jak?

Jupiter Jones przeciągnął dłonią po twarzy.

- Spanikował. Zobaczył nas, jak rozmawiamy w zoo z Robertsem - przyszedł tam, bo śledził Sola. A Catalucci już raz wystawił go policji. Kiedy zobaczył w zoo również dziennikarza, a potem nas, spanikował. Doszedł do wniosku, że media mogą mu bardziej zaszkodzić niż włoska mafia...

- Prasa to potęga! - westchnął papa Andrews. - Coś o tym wiem. Sam jestem dziennikarzem. Niektórzy nazywają nas czwartą władzą. Jak zginął nieszczęsny Benjamin?

Pete wzruszył ramionami.

- Załatwiono go strzykawką z silną dawką trucizny. Była pierwotnie przeznaczona dla Sola. Mortimer bał się strzelać, nawet z tłumikiem. To przecież zoo. Pełno ludzi, dzieci... przysiadł się na moment do Robertsa i... zrobił swoje. Znał się na tym. W Palermo siedział za cztery morderstwa... myszek jeden!

- Wpakowaliście się w niezłą kabałę! - jęknęła ciotka Matylda. - Dobrze, że wszystko już się skończyło. Guzy zniknęły z głów Boba i Pete'a. A Mortimer? Jak się właściwie nazywał?

- Angelo Riccione. Nie zdążył opróżnić trumny Therezy Montalkin Whitehouse Osborne. Zastrzelił go agent Tarvi. W obronie własnej. Angelo też strzelił. Ale chybił. - Jupe uśmiechał się. - Byłem przy tym. W bezpiecznej odległości.

- Czy dokumenty naprawdę znajdowały się w trumnie?

- Tak - potwierdził Jupiter. - W srebrnej skrzynce u stóp nieboszczki. Biedaczka, straciła głowę...

- Co?

- Dosłownie! - włączył się Bob. - Kiedy się tam kotłowali Tarvi z Mortimerem... trumna spadła z hukiem. Nieboszczka Thereza wypadła i...

Ciotka Matylda zacisnęła powieki.

- Dość tej makabry. Co będzie dalej z grobowcem?

Jupiter rozłożył ręce.

- Uporządkują go. Na koszt stanu. Ponieważ część spadkobierców siedzi w kryminale... a część, myślę o agencie Tarvi, zrzekła się wszelkich praw, ziemie przejdą na własność parku narodowego, który dzięki temu ocaleje. A starą sztolnię znów się zasypie. Nareszcie mieszkańcy Windy Island przestaną szukać skarbu. Najgorzej na tym wszystkim wyjdą Meksykanie i pracownicy obu biur podróży. Ci pierwsi zostaną deportowani, ci drudzy - bezrobotni!

- A wy?

- Myyy? - zdziwili się Trzej Detektywi. - My poczekamy na następną sprawę!

Zadzwoił telefon. Jupe uśmiechnął się promiennie.

- Telefonował Mat Wilson. jest pamiętliwy jak słoń. I tak samo subtelny. Powiedział tylko: ktoś się włamał na strony internetowe policji. Jest moje zdjęcie z gołą panienką. Czy Bob może coś z tym zrobić?

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.